



I.314.468



SZKICE

KAUKAZU.



SZKICE  
KAUKAZU

MICHAŁA  
BUTOWDA-ANDRZEJKOWICZA.

---

TOM I.

---

WARSZAWA.

W DRUKARNI JANA PSURSKIEGO,  
przy ulicy Aleksandra, N. 2768, lit. B.

1859  




323111

# K A U K A U

MIKHAJ

Pozwólono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno, dnia 18 Października 1858 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.



I. 314.468

WARSZAWA

W Drukarni J. J. K...

1953 D 322/1054

*[Handwritten signature in blue ink]*

Towarzysz podróży. — Don często tak rozlał...  
— Spójrzaj kolego na prawo, jaka piękna...  
jaka malownicza stanica...  
Towarzysz podróży. — Chciałabym mieć tu...  
gdz, chciałabym to najpiękniejszą stanice w Tyberii...  
— Jaki cudowny kraj, jaka piękna stanica...  
— Widać, że to jest w tym samym miejscu...  
Towarzysz podróży. — Może...  
...sta

Co ci jest kolego? nie napędzaj woźnicę, lecisz jak gdybyś chciał wiatry i chmury prześcignąć, — daj mi się różnie patrzeć, wszakżeż ci mówiłem — że chcę moją podróż opisać.  
**Towarzysz podróży.** — Cóż tu jest godnego opisu, może sosny, może piaski Małej-Rossyi, któreśmy już minęli?

— Patrzej jak wspaniała Don rozlał szeroko, to powódź prawdziwa; — tutaj dawnej Rossyi granica, i tutaj jak nad Dnieprem niegdyś koczactwo pilnowało przeprawy. — Ile tu musiało być ruchu, ile szczęku oręza, kiedy azjatyckie ludy na zachód wędrowały, — jaka teraz cisza, tylko Don po dawnemu pluska falami.



**Towarzysz podróży.**—Don często tak rozlewa.  
— Spójrzysz kolego na prawo, jaka piękna —  
jaka malownicza stacja.

**Towarzysz podróży.**—Znudziła mnie ta droga, chciałbym co najprędzej stanąć w Tyflisie.

— Jaki cudowny stęp, jaka bojna zieloność, zdaje się że toniemy w morzu szmaragdów.

**Towarzysz podróży.**—Morze na prawo zostało.

Towarzysz ciągle się spieszył, jechaliśmy dzień i noc, i tak niekiedy rozmawiając, dojeżdżaliśmy do Stawropola, gdzie przed nami ukazała się olbrzymia panorama Kaukazu \*).— W dali za stępami, za lasami, dostrzedz można było długie łańcuchy gór okrytych śniegiem!...

Przejechawszy kamienny Stawropol, zabudowujący się w długie i szerokie ulice, wjechaliśmy tuż zaraz w zaimprowizowane mia-

[\*) Słowa Kaukaz nie sąją Kaukazów Górale.—róžno są jego etymologije. Niektórzy wyprowadzają początek słowa Kaukaz z kosmogonicznych tradycyi Iranu: *kof-kóf*—co znaczy łańcuch gór opisujący cały świat. Inni znajdują początek tego słowa, w sanskrytycznym *grawakazd* (łańcuch się skały). Obszernie o tém traktuje: *Recherches sur les populations primitives et les plus anciennes traditions du Caucase par M. Favier de Saint-Martin, Paris 1847.*

stecko, składające się z szalasów, bud, kibitek i namiotów różnej wielkości.—Nowe to tylko co z igły miasteczko, powstałe od trzech tygodni; z powodu corocznie odbywających się tam jarmarków, napelnione było różno-plemienną kaukaską ludnością.—Na co spojrzeć, wszystko azjatyckie.—Skończyła się Europa, zaczęła Azja,—najkompletniejsza, najznamienitsza Azja, ze swą pstrokato-jaskrawą, najrozmaitszą ludnością, ze swym azjatyckim zapachem i wiskiem. Najprawdziwsza Azja, z najprawdziwszymi Azjatami konno i pieszo, w burkach, w różno-kolorowych czerkieskach i archaluchach, w czuchach wreszcie z rękawami na wyloty, i czapkach lachmatych, z mnóstwem polyskującej broni, i bizunami najrozmaitszego kształtu i grubości. Prawdziwy bazar azjatycki, wszystko pomięszane, halaśliwe, piszczące i ryczące.—Tam śniadzi Kabardyney pędzą tabuny swych koni;—tu zniewiesciali Ossetyni i Lezgini z dzikimi twarzami, posuwają się powoli z owcami tłusto-ogonowemi.—Tam ciągnie łańcuch różnemi towarami objuzczonych wielbłądów, koło nich idą Persy w spiczastych czapkach, i jadą przebiegłi Or-



mianie, zapewne właściciele ciągnącej karawany. Tu pokazało się kilku Kałmyków z płaskimi twarzami. — Tam jakiś książę góralski, ślicznej postawy, w galonowanej czerkiesce i w szlifach; uwija się na koniu pośród innych Górali konnych, którym ciekawie przypatrują się poważni kupcy z głębi Rosyi przybyli. Tam na arbach \*) opasli Gruzini i Kachetyńcy wiozą burdiunki \*\*) różnej wielkości. Ten kupuje ów sprzedaje. Jedni swoje towary zwalają pod szalas, a inni pakują się jak w drogę; — wisk i wrzawa nielitościwa. — Dobrze na pierwszy raz żesmy przejazdem nie ogłuchli od tego koncertu azjatyckiej rzeszy. Wjeżdżając na Kaukaz, pierwsze co uderza podróżnego, jest to nieproporcjonalność ludności do ogromnych obszarów pustej ale żyznej ziemi. Po drodze tylko tu i owdzie widzimy siola ruskich chłopków, nie dawno przesiedlonych na te żyzne równiny, gdzie rolnictwo

\*) Tak nazywają azjatyckie wozy o dwóch ogromnych kołach.

\*\*) Burdiunki, są to skóry bajwole i baranie, które zastępują miejsce beczek i beczolek; w nich to Gruzini trzymają za zwyczaj swoje wina.

nie jest jeszcze w kwitnącym stanie. W innych miejscach, świeżo przesiedleni mniej jeszcze myślą o plugu, najczęściej widzieć ich można z toporem w ręku pracujących nad budującemi się mieszkaniem, lub ogradzających zajęte miejsca pod swe ogrody. Pierwsze płaszczyny, noszą na sobie charakter zakłopotanych, urządzających się osad.

Jedziemy dalej, i malownicze łańcuchy śnieżnych gór zamiast się coraz dobitniej na horyzoncie zarysowywać, gubią się w tajemniczej mgłę i w nawale obłoków, — już tylko gdzieś lśnią się białe enigmatyczne ich aureole. I nie dziw, Kaukaz od niepamiętnych czasów, był zawsze krajem cudowności i misteryi. Dawni Grecy łączyli go z Olimpem. Do kaukazkich skał przykuty Prometeusz cierpiał i wytrzymywał najokrutniejsze męczarnie, — w kaukazkich ciemnych wąwozach Argonauci wydobywali złote runa, — a wielka czarodziejka Cyreca, ileż to psot tam nawyrządzała. Kaukazkie podania głoszą o Amazonkach i o śpiwających jeziorach. Najznamienitszy w łańcuchu gór Elbrus, i dziś jeszcze przez krajowców Królem Duchów (*Dżym Padiszach*) bywa za



zwyczaj nazywany, a inne wierzchołki ciągnących się pasm, są ciągle przedmiotem żółtych guseł i przesądów.

Jeżeli cudowność kaukaskich misteryi wiele straciła w naszym prozaicznym wieku, za to cudowność przyrody kaukaskiej zdolna jest na każdym kroku zadziwiać myślącego człowieka. Kaukaz to cztery pory roku w jednym danym momencie. Łatwo tam można zobaczyć doliny złoścące się bójnemi kłosa, na których rozpoczęły się żniwa, a tuż za nimi, na wyższych szczytach, zziębnać od śniegu i zamieci; — kiedy w tymże samym momencie, na spadziściach gór, rolnik doczekał się swej wiosny, i zasiewa nie wielkie łany jęczmieniem i kukuryzą. W wielu miejscach powietrze najwyborniejsze, najczystsze, a tuż obok atmosfera napełniona miazmami i zgniłemi wyziewami. Flora kaukazka nie mniej cudowności posiada; rośliny znajome Syberyi, rosną tam obok roślin właściwych Ameryce południowej. Słowem jest to skupienie się kontrastów fizycznych, w których biegunowa przyroda, często równikowej dotyka.

A i sami mieszkańcy, jak muszą być zajmujący. Dawni geografowie arabscy liczyli

tam trzysta z górą języków, i dla tego Kaukaz nazywali *Dshebal-elisani* (górami języków.)

Ta lingwistyczna różnorodność nie nie musiała osłabnąć, kiedy i dziś jeszcze często się zdarza, że dwa auly prawie tuż obok siebie leżące, a oddzielone potokiem tylko lub nie wielkim wąwozem, wcale się nie rozumieją: bo różne języki ich nie mają najmniejszego powinowactwa. Różnobarwna mieszanina zwyczajów i obyczajów nie mniej może zainteresować, a różnorodność form rządu (jeżeli tak można nazwać Stowarzyszenia, Chanstwa i Klany, nie mające żadnych ustaw pisanych, a rządzące się tylko zwyczajem), przechodzi wszelkie wyobrażenie. Najsroższy despotyzm, i coś niby warunkowego, niby konstytucyjnego, i rządy teokratyczne i republikańskie, a nawet anarchija i dziki socjalizm, wszystko to w różnych fazach i odzieniach, przejawia się, i gospodaruje obok siebie.

Ciągle byłem zajęty myślą, jak trudno będzie zdać sprawę z tej dziwnej krainy, a towarzysząc podroży śpieszył i śpieszył, — i tak śpiesząc się przejechaliśmy przez Georgiewsk, któremu z tego powodu nie poświęcę długiego



opisu. Zdaje mi się wszakże, że ani historija, ani geografia, ani statystyka, ani fortyfikacja, nie poniosą w tem żadnej straty, bo ile się można było przypatrzeć, forteca ta już prawie opuszczona, a przedmieście też nie bardzo zaludnione, i oprócz ulic z małemi nędznemi domkami, kilka tylko większych domów posiada.

Droga od Georgiewska do Ekaterynogradu, przybiera zupełnie charakter wojskowy. Tu i owdzie, widzieć można przechodzących żołnierzy wojsk regularnych, w mundurach z czerwonymi kołnierzami, w czapkach z białemi pokrowcami. Mieszkańcy wsi to już nie przesiedleni chłopci, ale żwawi Kozacy linjowi, w malowniczych czerkieskach, zawsze przy szaszkach, zawsze przy kindżałach.

Najlepszym dowodem, że niebezpieczeństwo musi często grozić tym stanicom nie zle zagospodarowanym, są strażnice, stawiane zawsze na najwznioślejszych miejscach. Strażnice te, są to po prostu na czterech wysokich słupach, wyniosłe piętrowe, na górze ze wszech stron odkryte szopy ze słomianemi dachami. Na takiej wyniosłości postawiony sztyldwach,

musi mieć oczy ciągle wlepione w tę stronę, z której grozi niebezpieczeństwo. W razie zbliżenia się nieprzyjacielskiej partji, sztyldwach obowiązany dać hasło posterunkowi, znajdującemu się na dole w strażnicy, lub najbliższym domu. Wtenczas bęben oznajmia o niebezpieczeństwie po wszystkich ulicach, a Kozacy dobrze rozumiejący co znaczy ten alarm, siadają na koń i wyjeżdżają w pole dla odparcia swych wrogów.—Jeżeli góralska partja nie bardzo znaczna, i Kozacy prędko się zebrać mogli wtenczas ci ostatni z tryumfem wracają a Górale pierzchają w nieładzie.—Zdarza się wszakże czasami, że napadającym uda się skorzystać z nieczujności kozactwa, i wtenczas rabusie strzelają, rąbią, zabierają, z sobą wszystko co się im nawinie pod rękę; upędzają trzody, konie, a nawet ludzi w niewolę zabierają. Tak więc w zamian za swą dawną mitologiczną poezję, Kaukaz posiada dziś inną wielką poezję życia narażonego na ciągle niebezpieczeństwa;—na każdym kroku, Szekspirowskie *być, albo nie być*, najfatalniej może się tam roztrzygnąć.





Ekaterynograd, chociaż jest policzonym do rzędu miasteczek, więcej wszelako ma podobieństwa do wielkiej bogatej stancy.—Są tam sklepy, są cerkwie, ale mieszkańcy wielkich i małych drewnianych domów, zawsze linjowi żonaci Kozacy. Jest tam dość liczna szkoła dla ich dzieci. Przejżdżałem właśnie wtenczas, kiedy różnych lat chłopaki gawronili się po ulicach i bardzo opieszale ciągneli do świątyni swej Minerwy. Młodekozactwo ubrane było w czerny; i u każdego wisiał na pasku mały kindżał przy boku,— azjatycka ta broń zastępuje tymczasem u nich scyzoryki. Sam widziałem jak niektórzy z nich zatrzymywali się na ulicy, wydobywali swe kindżały, i temperowali sobie pióra i ołówki.

Ekaterynograd leży nad rzeką Małą, za którą widać auly Wielkiej Kabardy \*) składające się z domków plecionych z chrustu, otynkowanych gliną i pokrytych słomianemi strzechami.

Tych Kabardyńców wyprowadzają od Chararów. Kabarda niegdyś silna, wojująca nawet

\*) Mała Kabarda leży na prawym brzegu Tereku, i ciągnie się od podszczy Czarnych gór, do lewego brzegu Sunży.

z Krymem, za panowania dwóch braci *Kabarty-Beg'ów*, rozdzieliła się na Wielką i Małą Kabardę, i przez to wiele straciła na siłach. Obie te Kabardy w ciągłych były z sobą wojnach, a i dziś jeszcze ich nieprzyjaźń między sobą objawia się ciągłemi grabieżami, i bardzo tam upowszechniono zemstę krwi. Od roku 1774 obie Kabardy poddały się pod władzę Rossyi, ale dotychczas rządzą się po swojemu. Kabardyńcy nie więcej jak od lat stu zostali Mahometanami, dawniej byli Chrześcianami,— powiadają że w głębi ich kraju w wielu miejscach są ruiny chrześciańskich kościołów. Feodalizm, i dziś jeszcze tam kwitnie.— Oprócz książąt panujących, są i inni książęta, którzy tam grają wielką rolę.— Wassale książąt są to *uzdenie* (szlachta) na trzy stopnie podzieleni.— Uzden pierwszego stopnia, ma ogromne przywileje, ale zawsze jest swemu księciu podległym. Uzden drugiego stopnia ma także same przywileje, ale już mniej władzy posiada. Uzden trzeciego stopnia, prawie zawsze jest biednym, i podlega uzdeniowi stopnia pierwszego;— oprócz tego są jeszcze chłopci i niewolnicy. Wychowanie dzieci, zwraca na siebie szczególniejszą uwagę.— Syn księcia jak



tylko ma skończonych lat dwanaście, zostaje natychmiast poręczonym uzdeniowi używającemu najlepszej sławy i poważania u swych rodaków. Wybrany uzdeń, przybiera wtenczas honorowy tytuł *Atalyka* (nauczyciela), i po spartańsku różnemi sposobami hartuje swego podrostka, wprawia go do konnej jazdy, uczy go rąbać szaszka, i strzelać z gwintułek i pistoletów. — Kiedy kurs teoretyczny kabardyńskiego wychowania ma się już ku końcowi, wtenczas się zaczyna kurs praktyczny. Atalyk uczy swego ucznia kraść konie, i zapędzać do siebie cudze bydło i barany. Kiedy uczący się umie dobrze ukraść, i dobrze schować, wtenczas już jest kompletnie na obywatela Kabardy ukształconym, bo na tem zależy cały sekret dobrego wychowania. W Kabardzie ten ma najlepszą sławę, o kim mówią że umie kraść wybornie. Wieczną zaś hańbę wtenczas się tam nabywa, kiedy kto z obywateli zostanie podpatrzonym, lub gdy złodziejstwo wyjdzie na wierzch.

Kabardynki, są bardzo piękne stworzenia! — ich wychowanie na tem zależy, że je uczą szyć, srebrem haftować i robić galony. Są to kaukazkie modystki, które nie tylko że stroją siebie,

mężów swoich i krajowców, w odzieniu własnej roboty; ale i w inne kaukazkie krainy wysyłają na sprzedaż, obszywane galonami czernieski, także archałuchi, i nogawice podobne do kamaszy. Kabardynki zajęte są ciągle już to ręczną już najgrubszą robotą, i jak prawdziwe niewolnice pod czujnym nadzorem, bo Kabardyniec kiedy z swych wypraw przyjeżdża do domu, do niczego wiać się nie chce. — Kabardyniec pali tylko tytuł ze swej króciutkiej fajeczki, i czuwa pilnie, żeby jakie ciekawe oko nie zajrzało pod czadry \*) jego żon i córek. W domu o gospodarstwie nie chce wiedzieć, ma nato kobiety, i temi się na każdym kroku wyręcza. Dawniej los Kabardynek był jeszcze gorszym, bo najpiękniejsze z nich przedawano do charemów Konstantynopolskich, gdzie były bardzo poszukiwane dla swej piękności, i dla swych zgrabnych i wysmukłych talij. Talje Kabardynek i dziś są zachwycające, bo w dziewiątym roku, zaszywają je w irchowe gorsety, żeby się nie rozrastały w pasie. Każda Kabardynka bywa tak zaszyta aż do za-

\*) We wszystkich prawie wschodnich językach, zasłony kobiet nazywają czadrami.



maż pójścia, i dopiero po ślubie, pan młody ma prawo zrzucić czadrę, spojrzeć po raz pierwszy w życiu na swą żonę, — i pruć kindżałem tajemniczą piersi zasłonę.

Ale otóż i same kabardyńskie damy, — zapewne za sprawunkami wjeżdżające do Ekaterynogradu. — Przypatrzmy się im bliżej.

W dwukołowej arbie, okrytej niby jakąś budką z dywaników, i ciągniętej przez dwa ogromne bajwoły, mające małego chłopca za woźnicę, siedziały trzy stare Kabardynki i dziewczynka lat dziesięciu lub jedenastu, dziwnej, prawie idealnej piękności. Trzy kobiety miały na sobie różno-kolorowe czadry, ale tylko dla proporeyi, i wielka szkoda, że się niemi zupełnie nie zakryły. — Dziewczynka trzymała swoją zasłonę w ręku. Mnóstwo drobnych hebanowych splotów, fantastycznie spadało na jej słiczną białą szyję, i na plecy karmazynowej obszywanej galonami kapotki. Dziewczynka słiczny miała wyraz twarzy, figlarne oczki, a policzki jej tak były delikatne, i tak cudnie różowe, że się można było zadziwić. Posłałem jej całus ręką. Dziewczynka uśmiechnęła się, i pokazała piękniejsze od pereł zębki.

O kilkanaście kroków za tą arbą, jechała inna konna grupa. Były to dwie kobiety, stary, zupełnie siwy Kabardyniec, i chłopiec lat czternaśtu. Kobiety na pięknych koniach siedziały po mężku, i tak były starannie zakryte, że oprócz różnokolorowych kwefów, czerwonych jedwabnych szara warów (po wschodniemu tumanów), obszywanych złotemi galonami u dołu, i żółtych safianowych eleganekich ciżemek, nic więcej nie było widać. Staruszek i chłopiec, obaj byli w żółtawo-bronzowych czerkieskach. Pierwszy miał przy sobie szaszkę, pistolet, kindżał i gwintówkę w czarnym skurzanym futerale za plecami, za któremi był jeszcze sukieny baszlyk \*). Drugi, miał tylko kindżał na pasku. Kiedy koło mnie przejeżdżali, starzec burezał pod nosem, i jakby lajał jadące z nim kobiety, które wcale się nie odzywały.

Droga z Ekaterynogradu do Włady-Kaukazu, jest daleko niebezpieczniejsza, niż ta którąśmy dotąd przebyli, — ta dziesięcio-milowa

\*) Baszlyk, zupełnie odrębny kapiszon, z szarego lub brązowego sukna, obszywany drobnemi galonami. — Górale nakładają swoje baszlyki w czasie deszczu, lub kiedy podróżują *incognito*.



przestrzeń, jest najniepewniejszą z całej tak nazywanej wojenno-gruzyjskiej drogi. Dawniej w Ekaterynogradzie zatrzymywano podróżnych dopóki ich się wielu nie zbierze, i wtenczas dopiero występowała z nimi kompanija piechoty i jedno działo; w ten sposób wożono nawet skąrbową pocztę do Włady-Kaukazu. Teraz niebezpieczeństwo daleko mniejsze, ale podróżnym daje się zawsze konwój ze dwóch, lub trzech Kozaków złożony.

Na tej drodze do Włady-Kaukazu, są trzy nie wielkie forty: *Pryszyb, Uruk i Ordon*, między którymi wznoszą się strażnice, podobne do tej com ją już opisał. Są to prawdziwe kozackie telegrafy, na nich to co dzień czuwają kozackie posterunki, i za danem hasłem, ze wszystkich strażnic tam się zbierają gdzie grozi niebezpieczeństwo. Pod wieczór, Kozacy opuszczają swoje strażnice, i ściągają się do najbliższych fortów. Kiedy wyębnią capstrzyk, w fortach zamykają się wrota, i podróżnych nie wypuszczają aż do wschodu słońca.

Wspomniane trzy forty, mają do siebie wiele podobieństwa. Każdy ma swego komendanta, trochę Piechoty, trochę Artyleryi, i wie-

lu Kozaków na rozjazdy i do strażnic. W takim forcie na wałach stoją działa, a wewnątrz są koszary dla żołnierzy, oficerski domy, lazaret, magazyn i duchan \*), z swym wiecznym Ormianinem; a rozsypane domki żołnawych żołnierzy, tworzą niby przedmieście należące do fortów.

Jedynym śladem że byliśmy na ziemi mahometaniskiej, były to wyrastające gdzieś nie wielkie cmentarze, i w jednym miejscu nad drogą wznoszący się minaret, wybudowany z drobnej, zupełnie czerwonej cegły; auly zaś Kabardyńskie nie leżą nigdzie nad drogą. Widocznie, mieszkańcy nie chcą wchodzić w bliższe stosunki z fortami.

Kiedyśmy dojeżdżali do Włady-Kaukazu, dzień był jasny i gorący, mgły rozwiały się, i przed nami ukazały się ogromne łańcuchy gór, rozchodzące się we wszystkie strony, których grzbiety okryte były śniegiem, a między niemi jedna góra panowała nad wszystkie. Wiersz-

\*) Duchanami nazywają na Kaukazie karczmy, które są razem sklepami. Nie wchodząc do nich można wszystko widzieć co się w nich znajduje, bo oprócz szerokich drzwi, są tam jeszcze szersze zawsze odsunięte azjatyckie okna.



chołek jej miał formę okrągłą, i był więcej niż inne zasypany śniegiem. Śliczna to góra! Śnieg nie zaokrąglal tylko jej szczyt, ale okrywał ją aż do połowy, druga połowa aż do samych stóp, łączących się z innymi pasmami, ciemniała zapewne od borów, tak się trzeba było domyślać po tym ciemnym mieniącym się kolorycie; chociaż drzew jeszcze nie można było odróżnić. Ta biała, olbrzymio-wspaniała góra, to Kazbeg! który się cudnie zarysowywał na szafirze niebios. Kazbeg zdawał się być bardzo blisko, a jednakże był jeszcze o kilka mil odległym.

Ale otóż i Włady-Kaukaz; zawracamy na lewo, przejeżdżamy długi most zbudowany na szumnym Tereku, i wjeżdżamy do miasta. Więcej tam wojska stale konsystującego, i dla tego więcej ruchu. Są tam i wielkie domy, są i szerokie ulice, są całe szeregi ormiańskich drewnianych sklepów, a nad temi wszystkim panuje na wzgórzach stara forteca, nie bardzo wprawdzie umocniona, ale najeżona działami, szczególnie od południowo-wschodniej strony, przylegającej do zarosli urwiak i lasów, w których są siedziby Górali.

Przejdźmy się po mieście, żeby się lepiej rozpatrzeć, w drodze o znajomości nie trudno, może się uda choć cokolwiek o Włady-Kaukazie zanotować.

Poszedłem szeroką ulicą, na której gdzieś niedzie były w domach pootwierane okna. I tak idąc bardzo przyzwoicie, bez żadnych złych zamiarów, nie zatrzymując się nawet nigdzie, nateżałem ciągle wzrok i słuch.

Z pierwszego okna, doleciały do mnie tony bardzo rozstrojonego fortepianu; ktoś grający sylabizował początek Normy. Drugie odemknięte okno, w innym domu, miało daleko więcej interesu. Stała w niem, młoda, piękna blondynka, polewająca hortensje i inne wazonowe kwiaty. Blondynka zwracając się w tymże samym momencie do kogoś stojącego w głębi pokoju, mówiła w następny sposób:

*Voici donc votre reconnaissance, pour tous mes sacrifices pour tous mon dévouement?*

Ten ktoś, stojący w głębi odpowiadał barytonem.

*Vous vous trompez, i coś dalej, czego nie mogłem i nie chciałem dosłyszeć.*



Z innego znowu okna, na węgle ulicy, wraz z ujrzanemi kłębamy tytoniowego dymu, usłyszałem głos oznajmiający *ośm kier* któremu dwa inne głosy odpowiedziały: *wist-wist*.

Pragnąc się więcej poznać z azjatyckim, niż z europejskim Włady-Kaukazem, przeniosłem się na inną ulicę, i doszedłem do urządzającego się publicznego ogrodu. Oprócz pracujących żołnierzy, było tam kilkunastu azjatyckich więźniów używanych do robót, wszystkim zaś rozporządzał oficer, z którym się wdalem w rozmowę.

— Pan, jak widzę, uczy Azjatów ogrodnictwa—powiedziałem.

— Urządzamy tu panie ogród—odpowiedział—i to ogród spacerowy, publiczny. Azjatów tylko mniej mamy, niż ich tu dawniej bywało. Może pap myślisz że postąpili w moralności, bynajmniej—zawsze ciż sami, zawsze rozbójnicy i złodzieje. Naprzykład, ten pierwszy co taczka ziemię wozi, zabił nie dawno swoją żonę, ci dwaj inni grabili i zabijali na drodze, a ten w samym Włady-Kaukazie ukradł konia.

— Jakto, więc i do samego miasta wciskają się Górale?

— A któż tu ich upilnuje, wszakżeż to wszystko niby podlegli. Włady-Kaukaz do koła zaludniony temi podległemi rozmaitemi plemionami. Niemożemy więc im zabronić wstępu do miasta, a oni tu nas podpatrują. Ale jak kogo złapiemy na uczynku, to ceremonia krótka, bo Włady-Kaukaz to nie powiatowe miasto, ale rządzi się prawami wojennemi, również jak i cały obwód tego nazwiska—a więc na tych ptaszków bywa tu zawsze sąd wojenny. Tu wszystko na wojennej stopie, wczoraj naprzykład w nocy, w samym mieście strzelano, bębniiono, i wiele narobiono hałasu.

— Jakto w samym mieście?

— Kilku Górali wkradło się w nocy na tę ulicę, gdzie mieszkają żonaci żołnierze, i u jednego z nich zabrali parę wołów. Żołnierze zaczęli strzelać do Górali, a Górale do żołnierzy, ale że noc była ciemna, nikt nikogo nie ranił, woły się zostały na ulicy, a Górale zemknęli. W ciemną noc, niebezpiecznie chodzić po mieście, trzeba się mieć na ostrożności, i być uzbrojonym. W przeszłym roku, kiedy raz późno wracał do domu, to i koło mnie kule świstały.



— Niech mi pan wytłumaczy, co to są za Azjaci co siedzą nad urwiskiem — widzi pan na prawo — tam ich będzie z dziesięciu, przechodząc koło nich zauważyłem że ciągle patrzą na góry, i nie z sobą nie rozmawiają.

— A jakżeż mają rozmawiać, kiedy siebie nie rozumieją, każdy z nich mówi innym językiem. Podejźmy do nich, to się pan im przypatrzysz. Są to tak nazwani Amanaci, to jest zakładnicy. Jeżeli nasze wojska zdobędą taki aul, gdzie nie ma potrzeby budować fortecy, w takim razie biorą się z niego *Amanaci*, a to dla tego, żeby ich mieć w ręku, i żeby się aul nie zbuntował. Amanaci ci, wybierają się zawsze z lepszych familji. Wszysey ci obdartusi to niby ich szlachta; wielka szkoda że nie mogą ich użyć do ogrodowych robót.

— Cóż z niemi zrobią, jeżeli się ich auly znowu zbuntują?

— Dawniej wieszano ich w takim razie, dziś zsyła się ich na żołnierzy do sybirskiego korpusu.

Doszliśmy do siedzących Amanatów. Jedni z nich byli w czerkieskach, drudzy w archałuchach, a wszyscy dosyć oszarpani w białych, lub

w czarnych lachmatych czapkach. Amanaci milczeli jeszcze ciągle patrząc na góry.

— Naprzykład, mówił dalej oficer, ręką wskazując; ten pierwszy to Ingusz, ten drugi to Karabulak, ten Czeczeniec, ten Kabardyniec, z jednego aulu co się nie dawno zbuntował. Ci znowu są z oddalonych stad aulów, i już sam nie wiem do jakich plemion należą; ale ci nie mogą z sobą rozmawiać, bo i sami się nie rozumieją, i ich nikt nie rozumie. My zaś musimy ich karmić i dozorować; zawsze przy nich jest żołnierz, co czuwa nad nimi, wolno im chodzić po mieście, ale dalej ani na krok ich nie puszczają.

— Ależ oni oniemiają, jeżeli z nikim mówić nie będą. Czy nie możnaby ich nauczyć jakiego języka więcej tu używanego?

— Właśnie że i to probowano. Z początku chciano ich uczyć języka rosyjskiego; okazali ku temu wstręt największy, i nic z nimi nie można było zrobić. Później jeden Mulla, zaczął ich uczyć języka *Tiurk*, najużywanego na Kaukazie. Mulla wziął się był bardzo gorliwie, ale i ten się zraził bo Amanaci zamiast uczenia się języka *Tiurk*, zaczęli mu podczas lekcji pokazywać swe własne czerwone języki. Mulla przestał do nich



chodzić, i teraz po całych dniach nie lotry nie robią, tylko ciągle patrzą na góry.

Górale rzeczywiście podczas naszej rozmowy najmniejszej na nas nie zwracali uwagi, siedzieli po azjatycku, mając nogi skurczone pod siebie, milczeli, a wzrok ich był nateżony ku górom.

Wieczór byłbym przepędził w towarzystwie Trynitarza, kapelana wojskowego, gdybym się był dowiedział o jego przyjeździe do Włady-Kaukazu. Że zaś nazajutrz była niedziela, z rana byłem na Mszy Ś<sup>d</sup>, która się odbyła w wyporządkowanych na prędcie koszarach wojskowych\*). Po skończonej Mszy Ś<sup>d</sup> śpiewano kościelne pieśni. Nabożeństwo odbywało się bardzo przykładowie; było na niem trzech oficerów i więcej niż stu żołnierzy, i wszyscy co do jednego od początku aż do końca klęczeli.

\*) Teraz już w wielu miejscach na Kaukazie, są kościoły i kaplice, wybudowane już to przez rząd, już za pomocą dobrowolnych ofiar. Słyszałem że i we Włady-Kaukazie wymirowano piękną kaplicę.

## II.

**W**ŁADY-KAUKAZEM zaczynają się przedgórza zieleniejące ślicznymi drzewami, za którymi się wznoszą coraz wyższe góry, — a białe, okrągławe, panujące nad całą okolicą *Kasbeg*, zdaje się być już przed nami. Jedziemy prawie ciągle po nad brzegiem szerokiego *Tereku*, zasłaniającego się niekiedy drzewami i krzakami, lub wielkimi wzgórzami.

Zrobiliśmy z milę drogi, mijamy leżący na wzgórzach, pociemniały od czasu zamek Rydant i już jesteśmy na ziemi Ossetynów, zapewne nie bardzo wprawnych do rozbojów, bo kozackich strażnic nigdzie nie widać. Droga stopniowo coraz się wyżej podnosi, prawa i lewa



strona ścieśnia się, przysuwa się coraz bliżej, Terek bardziej i mocniej się pieni. Góry ciągle najeżone piętzącymi się skalami, wśród których, i nad którymi, rosną najpiękniejsze krzaki i drzewa. Jedziemy prędko, przemieniające się, wyrastające przed nami góry, w zagłębieniach wiodącej drogi coraz wyższe, coraz piękniejsze na nich kamienne płyty i drzewa, — lecz tu się już utworzył wąwóz; Terek płynie kaskadami po ogromnych skałach, i tak szumi że zupełnie zagłusza. Góry tak się blisko do siebie przysunęły, że z obu stron zakrywają horyzont. Żeby zobaczyć szafir pogodnego nieba, trzeba przytrzymać czapkę, i głowę zadrzeć do góry. — Dekoracje coraz się zmieniają, w wąwozie pociemniało — na pionowo wznoszących się wysokich górach nad nami, wiszą wśród najbójniejszej zieloności sążniste skały, co chwila spadnięciem grożące. Pierwszy raz byłem w górach, nie znałem ich uroku, — straciłem głowę. Zdawało mi się że widzę przed sobą niebo i piekło. Zdawało mi się że byłem w tej krainie, którą Dante z Wiergiljuszem zwiedzał. Zdawało mi się że dostrzegam wyryte na skałach:

Lasciate ogni speranza Voi ch'entrato

A dalej na bramach, jakby czerniało przedemną:

Per me si va nella città dolentá,

Per me si va nell'eterno dolore,

Per me si va tra la perduta gente.

Czułem że to świętokradztwo jechać pocztą po tych czarujących miejscach, — gdybym rozporządzał moim czasem, zeskoczyłbym był z wozu, i poszedłbym dalej piechotą. Wiem że ta część mojej podróży aż nadto będzie niedokładną, — tyle w górach doznałem wrażeń, że niepodobna mi było ani notować, ani pamiętać. Niektóre miejsca, przypominam sobie, jakbym je tylko we śnie widział. Będąc na znacznej wysokości, gdzie już prawie nie było żadnej roślinności, z góry Święto-Krzyskiej zachwycony byłem najcudowniejszymi pejzażami. Z góry nazwanej Hut, leżącej nad przepaścią do której zajżawszy, kręci się w głowie, i cmi w oczach, widziałem w tej otchłani osetyjski aul zagrożony lawinami, a który patrząc nań z drogi podobny był do majaczącego marowiska. Widziałem wiele cudownych widoków, lecz wolę o nich nie wspominać. Obawiam



się żebym nie poprzestawiał gór i dolin, żebym nie opisał wprzód to, co widziałem później; i dla tego chciałbym czarującej tej drogi taki tylko szkic pomieścić, żeby był nicią mych dalszych wędrówek. Trudno cyrklem wymierzać szczegóły, tam gdzie całość zachwyca swą pięknnością. Jeszcze trudniej zdać sprawę z nawału czarujących pejzaży górskich, widzianych tylko przelotem. To tak zupełnie, jak być na nowej operze, upajać się jej trudną różnobarwną melodią, ale prosić ją wyspiewać prosić choć cokolwiek z niej dokładnie powtórzyć.

Pierwsza stacja pocztowa w górach, nazywa się Lars. Białutki, czystutki domek, i wszystkie jego przybudowania, okryte czerwoną dachówką, opasane były wysokim pobielonym murem. Do koła huczą potoki, szumią lasy; wjeżdżamy na wzgórze, z bramy wybiega czerwony, roztrzepany, dozorca stacji, i w następny sposób do nas się odzywa:

— Panowie z Włady-Kaukazu, a co tam moja żona? Czy nie wiecie co o mojej żonie?

— Umarła, powiedziałem, wysiadając z wozu.

— Jakto umarła, to chyba ją zadusili. Jakto, ona taka młoda, taka piękna, taka zdrowa, wszakżeż wszystkiego dwudziesty rok leżyła.

— No to nie umarła, umarła jakaś sześćdziesięcio letnia.

— Widzę że pan i we Włady-Kaukazie nie nawet nie słyszałeś, a zajdź pan do domu, tam moja trzech-letnia córeczka, tam moja sierotka. Oj lepiej mi było siedzieć w Póltawie, tam gdzie się człek urodził i wychował. Otóżto podwójna pensja kaukazka, cóż mi teraz z tą pensją?

— Takeś dobrodzieju dokładnie rzecz wyjaśnił, że nie cię nie rozumiem.

— Czegóż tu nie rozumieć, trzy tygodnie temu nazad, na tem samym miejscu, mówiłem do mojej żony: nie jedź duszko do Włady-Kaukazu, nie jedź na chrzciny, co to znaczy że proszą, obejdzie się tam bez ciebie! Pan zapewne nie żonaty, a więc nie wiesz co to jest uparta żona. Otóż uparła się i pojechała, i piękne jej zrobili chrzciny. Dobrze przynajmniej że sam z nią nie pojechałem, byłoby jeszcze gorzej.

— Jakież to chrzciny?

— Powiadam, że miały być chrzciny we Włady-Kaukazie, otoż Paweł co ją powoził był



uzbrojony, ale jak dali ognia — a może i na wiatr dali ognia, więc się schował w krzaki. Później na drugi dzień przyszedł do mnie, i sam mi wszystko powiedział.

— Jakżeż Paweł powiedział?

— Paweł mówił że wózek zostawili na drodze, konia odpręgli i poprowadzili luzem, a moją żonę jeden z nich posadził na swoje siodło, sam siadł za nią, i tak drapnęli w góry, — było ich pięciu. Oj lotry Gorale, jabym ich wszystkich powywieszał.

— No cóż, i nie ma żadnych śladów?

— Jakto niema śladów, są ogromne ślady. Ja teraz już urzędownie, i formalnie o tem traktuję. Wiem do jakiego aulu ją najprzód zawieźli, i wiem co się później z nią stało. Najprzód była w jednym aule Inguszków. Starszyzna tego aulu, jest oficer naszej Milicji, dał więc znać do Władzy-Kaukazu, że przez jego aul przewieziono w nocy jakąś ukradzioną kobietę. Ale to nie tak było, bo w tym aule całe trzy godziny popasywano konie, a moją żonę częstowano jakąś tak nazywaną *buzą*, co ma być podobną do mocnego piwa. Żeby się dokładnie o wszystkim dowiedzieć, drogo za to zapłaciłem os-

setyńskiemu żydowi Barawie, któren chodzi do Inguszków, z drobnymi towarami.

— No i coż Barawa?

— Barawa się dowiedział, że żona moja wzięta była w niewolę rzeczywiście przez Ingusza, mieszkańca aulu Dur-Dur, i że tam była dwie doby, a później została sprzedaną gdzieś dalej w góry. Ale gdzie się teraz znajduje, o tem nawet i w Dur-Dur nie można się było dowiedzieć.

— A za wielez została sprzedana?

— Wszakżeż u Inguszków pieniądze nie kursują, jak mi Barawa mówił, niby to jej pierwszy właściciel, przemieniał ją, aż wstyd powiedzieć, na ślepego na jedno oko konia, na gwintówkę i na dziewięć baranów. A co drugi niby to jej właściciel z nią zrobił, o tem jeszcze nie wiem, chociaż się wszystkich rozpytuje. Ale otóż i konie gotowe, zdaje się że wszystko powiedziałem; — jeżelibyście się panowie dowiedzieli co przypadkiem o mojej żonie, to proszę do mnie napisać.

— Będę sobie to miał za obowiązek.

Z larsu wąwozy rozbiegły się między góry rozmaitych kształtów i wysokości; jedziemy



szerszym niż wprzód rozłogiem, ciągle nad szumnym, bystrym Terekiem, unoszącym z sobą nie raz stoletnie drzewa i pnie wyrwane nad brzegami. Mnóstwo potoków z różnych miejsc przynosi mu swą dań. To nie te potoki równin, co płyną tak prozaicznie, to potoki co bieją kłębami bałwanów, i z szybkością góralską nieprawdo-podobne torują sobie drogi. Ich muzyka to wtór do huczącego Tereku, a skrzyknięcie drzew i świst wiatrów zmienionych i odbitych echem skał, to wieczny koncert gór....

Ciągle stopniowo podnosimy się coraz wyżej, bo mamy przejechać przez ciągnący się łańcuch najwyższych Kaukaskich gór. Gdzieś w oddaleniu widnieją nie wielkich zamków ruiny. Roślinność między piętrzącymi się skałami, składa się zawsze z drzew i krzaków strefy północnej; ale że jesteśmy na dość znacznej wysokości, więc już słabnąć zaczyna. Niższe piętra kamiennych gór, okryte płaszczem lasów, średnic mórąwą, wierzchołki oprószone śniegiem, a niektóre różno-kolorowe, spiczaste szczyty, wznoszą się nad massami brył i głazów, jakby minarety tego długiego grodu, przez Twórcę zbudowanego. O jak mały czło-

wiek, wśród tej olbrzymiej przyrody! Jakby tutaj małe się zdawały te kretowiska, które on swemi miastami nazywa. Ani sposób się napiatrzyć, rozmaitość bez końca, trudno oderwać od tych wzniosłych czarujących widoków, — smutno, tęskno, że tak się szybko przed nami przesuwają.

Już blisko stacja, ale jeszcze jej nie widać. Z prawej strony w oddaleniu bieje ossetyjski kościółek z klasztorkiem, jakby przyklejony do wierzchołka prostopadłej góry. Nie widać do niego nawet żadnej drogi, — krzyż tylko błyszczy słabo, ale ta jedna myśl już, że tam się modlą Chrześcijanie, podnosi, i więcej ożywia ten malowniczy pejzaż. Przejeżdżamy jeszcze kawał drogi, i z za gór zygzała, wykazuje się w dolinie dziedzictwo ossetyjskiego księcia Kazbega, aul Kazbeg, leżący u podnóża białego, zaokrąglonego Kazbega, pamiętającego nad całą tą okolicą.

O, jak małe, jak nędzne zdaje się tu wszystko, czego się ludzka ręka dotknęła. Mieszkańców ossetyjskich kmotków, nie zbliżywszy się do nich zupełnie, prawie rozpoznać nie można. Są to jakieś lochy, jakieś wyżłobione w ziemi



nory, okryte szaremi kamieniami. Gdyby nie wychodzący z ich otworów ludzie, nie można by ich nawet odróżnić. Śród tych szarych grud, wznosi się prosty kamienny kościółek. Są tam i duchany, ze swemi płaskimi dachami, podobne do wielkich pudełek. A dalej, jest jeszcze piętrowy, nie wielki, czworoboczny dom księcia Kazbega, z terasem na wierzchu i balkonami ze wszystkich stron. Czerwony dach, na białej, pocztowej, obmurowanej stacji, imponuje zupełnie tej brudnej szarej osadzie.

W Kazbegu widziałem mnóstwo Ossetynów i Ossetynek. Według Klaprotha \*), są to potomkowie znanych w starożytności Sarmatów Medyjskich, i średnio-wiecznych Allanów i Assów (?) Jaby w nich więcej widział pokrewieństwa ze szczepem Germanów; bo w ich mowie są wyrazy mające zupełnie zakończenia niemieckie,—są nawet całe niemieckie wyrazy, do których przywiązane też same znaczenia, co i u dzisiejszych Niemców. Niemieckiej tylko uczoności i pedanteryi nie mogłem dostrzedz

\*) Voyage au mont Caucase et en Georgie par Jules Klaproth, Paris. 1824.

w Ossetynach, gdyż język ich jeszcze nie doszedł do tej doskonałości żeby się wyrazić pisanemi literami, a ogranicza się tylko ustną mową. Matematyczne ich zdolności leżą jeszcze w zupełnem spowiciu, gdyż rachować umieją do dziewięciu, a policzyć coś mogą tylko do dziewiędziesięciu. Czyli tłumacząc się wyraźniej: dziewięć tylko pierwszych cyfr mają w nich swoje nazwania, które się później ciągle powtarzają. I tak jeżeli Ossetyn chce powiedzieć, że ma jedenaście, to mówi, że ma dziewięć i dwa. Jeżeli chce powiedzieć że ma dwadzieścia pięć, to mówi, że ma dwa razy dziewięć i siedm, i tak dalej, aż do dziewiędziesięciu, które tak wyraża: dziewięć razy dziewięć i dziewięć. Uczeńsi z nich, czasem liczą i dalej, ale Arytmetyka popularna dochodzi tylko do liczby dziewiędziesiąt.

Ossetyni mieszkają w dolinach i wąwozach ciągnących się ku zachodowi, do granicy Imeretji i Swanetji; ludność ich dochodzi do kilkudziesięciu tysięcy. Ossetynki i Ossetyni, prawie zawsze blondyni lub rudzi, nie mogą mieć żadnej pretensji do przystojności. Drobne są wzrostu, brzydki mają wyraz twarzy, i ciągle



czerwone oczy, to ostatnie zapewne pochodzi od ostrego powietrza, i nigdy nie topniejących śniegów na wyższych górach. Żeby złagodzić ten ciągły ból oczu, zauważyłem że nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, ciągle zażywają tabakę. Ossetyni bardzo są biedni, suknie ich tegoż samego kroju, co i Kabardynów, ale te ich szare, bezgalonowe, czerkieski, strasznie są wyszarzane i polatane. Oprócz nędznych kindżałów, rzadko nawet można u nich widzieć gwintuwki i pistolety, raz dla tego, że broń na Kaukazie bardzo droga, drugi, że jej nie lubią, bo dosyć są zniewiesieli.

Trudno bardzo zadeterminować jaką Ossetyni teraz wyznają religię. Jeszcze w XII wieku, za czasów Gruzyjskiej Królowej Tamary, która się na Kaukazie wslawiła swemi wojnami i nawracaniem pogan, Ossetja uległa jej orężowi, przyjęła wiarę chrześcijańską. W górach Ossetji, jeszcze i teraz są stare kościoły byzantyjskiej architektury, zbudowane tam przez Tamary. Lecz później następcy Tamary nie mogli czuwać nad Ossetją, bo i sami mnóstwo klęsk i wojen musieli ponosić, i Ossetyni znowu wrócili do dawnego poganstwa. Przed stu laty wielka ich

liczba przyjęła wiarę mahometańską, lecz kiedy Gruzja wieloną została do Rosyi, wtenczas i na Ossetję zwrócono uwagę. Wysłano księży już to Gruzynów, znających język ossetyjski, już i samychże Ossetynów, wykształconych na księży w Tyfliskiem seminarium, których obowiązkiem było nawracać i chrzczyć w Ossetji. Żeby zachęcić do tego sakramentu, nowo-ochrzczonym dawano zawsze srebrny krzyżyk, dwie koszule i rubla. To się im tak podobało, że znaleźli się tak gorliwi, co ochrzciwszy się w jednym aule, cichaczem przekradali się w inne miejsca żeby znowu być ochrzczonymi. Zauważano ten ich zbyt uczynny popęd do pierwszego sakramentu, przestano im płacić, i odtąd liczba Chrzescijan w Ossetji widocznie się zmniejszać zaczęła; tak że teraz między Ossetynami są Chrzescijanie, są mahometanie, a w głębszych ich wąwozach są nawet poganie. W Ossetji, niektóre obrzędy chrześcijańskie, zupełnie się pomieszały z mahometańskimi i pogańskimi. Ś. Eliasz, jest jakby patronem Ossetynów i najwięcej przez nich czczonym. Jemu to poświęcone są liczne grotty i jaskinie w kątach których według greckiego zwyczaju zawieszony bywa jego wize-



runek. Chrześcijanie przychodzą tam, żeby przyklepić woskową świeczkę, a poganie również Świętego Elijasza adorujący, odbywają tam całopalenia baranów i wołów, których rogi i skóry koło jaskiń rozwieszają. Rozpowiadano mi, że Ossetyni czasem z okoliczności, lub z jakichś widoków na przyszłość, grają długi czas rolę Chrzescian, a później znowu wracają do mahometanizmu lub poganizmu. Słyszałem że w jednym aule, w kościele, podczas nabożeństwa, rozstali się na zawsze ze swym pasterzem, i to w sposób dosyć oryginalny. Ossetyni zebrani niby to na mszę weszli do kościoła w swych małych kosmatych czapkach. Ksiądz odprawiający nabożeństwo, sądził z początku, że to tylko chwilowe przypomnienie dawnych mahometaniskich zwyczajów, nie wiele więc na to zważał. Lecz trochę później dostrzegł że Ossetyni nie w bardzo byli nabożnem usposobieniu, bo podchodzili do obrazów, pozapalali swoje krótkie fajeczki, porozsiadali się po kilku na ziemi, i zaczęli krzyczeć i rozmawiać. Pod koniec już nabożeństwa, ksiądz ich upomniął, że się nie przyzwolicie znajdują w kościele. Wtenczas Ossetyni podszli do niego, zaczęli go całować

w ręce, mówiąc że niechcieli być na nabożeństwie, lecz że przyszli jedynie dla tego żeby się z nim pożegnać. Ksiądz zrozumiał o co rzecz idzie, i zaczął im dowodzić że od dawna już są ochrzczeni, i że muszą pozostać Chrzescijanami. Ossetyni upewniali, że wracają do swej dawnej wiary, jedynie dla tego że Mahomet karze ich ciągle nieurodzajem, lecz zaczęli razem, że Świętego Elijasza zawsze mieć będą w poważaniu. Po takim rzeczy wyjaśnieniu, zdjęli z księdza kościelne szaty, porzucili je na kawałki, i podzielili między sobą, mówiąc że to na pamiątkę schowają; a później wychodząc, zabrali z sobą wszystko co tylko można było wziąć w kościele. Ksiądz był bardzo gorliwy, lecz bojąc się złych dla siebie następstw, co najprędzej wyniósł się z niechrześcijańskiego aulu.

Z Kazbega do Kobi, powozil nas Ossetyn, mówiący dobrze po rusku. Droga szła coraz wyżej, byliśmy już na tak znacznej wysokości, że choć mieliśmy dopiero początek lata, tak było chłodno, jednak żeśmy sobie jesień przypomnieli. Jechaliśmy nad Terekiem, już mniej bystrym, i płynącym coraz węższem korytem.



Przesuwały się ciągle przed nami najrozmaitsze, najfantastyczniejsze góry, ale ich roślinność składała się tylko z karłowatych drzew, nędznych krzaków, i murawy. Ujechaliśmy już trzecią część drogi, kiedy zauważyłem że mój Ossetyń, spoglądał na lewo, ciągle w toż samo miejsce, a po jakimś czasie kiwnął głową i przeżegnał się trzy razy.

— Co ty ujrzałeś? — zapytałem Ossetyyna.

— Balem się — odpowiedział, żeby się w tém miejscu nie zagawronić, bo ja i jadąc do Kobi, i z tamtąd wracając zawsze się tutaj żegnam.

— A dla czegoż się tutaj żegnasz?

— Bo stąd tylko widać *Chetadży kad*, to jest las Chetada.

— Cóż to za las?

— Alboż nie słyszałeś, u nas i dzieci o tém wiedzą, jeżeli chcesz to ci rozpowiem — tylko to długie *argawaj* (podanie).

— Nie nie znaczy, — rozpowiadaj.

— Widzisz na lewo pod tą drugą górą widnieją gdzieniegdzie drzewa, to początek lasu, a las ciągnie się tam niżej w wąwozie. Gdzie teraz las, tam dawniej w zupełnie bezleśnym miejscu był aul bardzo wielki i bardzo bogaty, ale

największym skarbem tego aulu, był mieszkający tam święty człowiek nazwany Chetad. — Dziwny to był człowiek, co tylko pomyślał to wszystko mógł zrobić. — Nigdy nikomu nie złego nie wyrządzał, ale na każdym kroku starał się coś dobrego uczynić. — Jeżeli kto zachorował w aule, Chetad zaraz go postawił na nogi. — Jeżeli kto zubożał, Chetad zaraz go zapomógł. — Jeżeli kto udał się do niego po jaką radę, zawsze najlepiej wyszedł. A z djablami i czarownicami co też on wyrabiał, to nie to co teraz, nigdzie ich tu blisko nie było. — Jeżeli czasem i zabłąkało się jakie djablisko do aulu, to nie na długo; bo Święty umiał ich przemieniać w konie i ptaki, na których sam jeździł i latał, i tak ich męczył że się aż wypraszali; — a gdy ich wypuścił na wolność, to już pewno żaden więcej do aulu nie zajrzał. — Długo żył święty człowiek, ale kiedy skończył lat dwięście, tak osłabł że nie mógł chodzić. W tym właśnie czasie, w naszych górach była ogromna wojna, szedł jakiś władzca z Zachodu, i pustoszył wszystkie auly. — Ludzie zbierają się do Chetada i powiadają mu: chodź z nami nasz stary, bo nieprzyjaciel blisko. —



A jakżeż ja z wami pójdę, mówił Chetad, kiedy mi nogi nie służą, ale ty lesie, zawołał, przyjdź tutaj, i ukryj nas przed wrogiem! Las się ruszył, szumiał, szedł, i przyszedł tak blisko do aulu, że go zakrył zupełnie. Władca z zachodu nie zniszczył więc aulu, bo go nie widział.— Kiedy niebezpieczeństwo zupełnie minęło, Chetad żyć przestał.— Mieszkańcy usypali mu w lesie wysoką mogiłę, a sami się wynieśli dalej, bo im tam było za ciasno.— Mój ojciec i mój dziad, czcili Chetadżykad jak świętość, i dla tego to ja się żegnałem.

■ Nie dojeżdżając do Kobi, rozstajemy się z coraz węższym Terekiem, widnieje on jeszcze jakiś czas z prawej strony na polanie, za którą się wznosi jakby inny labirynt gór, urwisk i wąwozów, tam to gdzieś ta bystra rzeka bierze swój początek. Podnosimy się coraz wyżej i wyżej, pejzaże już są zupełnie innego kolorytu, brak w nich roślinności, a góry piaszczyste lub skaliste mchem okryte. Cały krajobraz powleczoney jakąś chłodną martwością.—Wzrok tęskni za drzewami, i nie dostrzega ich nawet wtenczas, kiedy się zwraca ku minionym miej-

scom, tam tylko Kazbeg z po za gór, zasłaniających go, ukazuje niekiedy swój biały zawój.

Kobi, to rodzona siostra Kazbega, również ma pola, tylko między górami inaczej porostawianymi.—Taki sam kościółek, także ossetyjskie ziemlanki, taki dom pocztowy, i takie same duchany; tylko że te ostatnie wyciągnięte w jedną linię tworzą nibyto bazar.— Tam właśnie, po raz pierwszy zdarzyło mi się widzieć, jednego z licznych wędrownych gruzyjskich Sazandarów \*). Siwy, rumiany, w archałuchu i czusze staruszek, z odkrytą głową stał koło duchanu, i przygrywał na swej *stwirze*, trzymając pod pachą miech swego instrumentu, i nadymając go niekiedy, za pomocą różka, którego wierzchnia część podobna była do klarnetu, ozdobionego różno-kolorowymi kamyczkami i szkiełkami.—W tymże samym czasie kiedy stwira wydawała swe przeciągłe tony, Sazandar skandował po gruzyjsku jakieś improwizowane śpiewy, którym okrażający go Ossetyni przysłuchiwali się

\*) Sazandar, to gruzyjski Wajdelota, — ich także nazywają *Mestwira*, od instrumentu *stwira*, bardzo podobnego do kobzy; jeszcze i teraz gdzieś u nas znajomej.



z wielką uwagą.—Po każdym zaimprovizowaniu wynosili mu z duchanów *sér, acureki* \*), lub małe gliniany dzbanuszek wina. Sazan-dar rozmawiał po gruzyjsku z Ormianami właścicielami duchanów, i z Ossetynami stojącymi na ulicy, bo język gruzyjski już stamtąd zaczynał być używanym.

W Kobi, stacja pocztowa była zajęta przez dwie Angielki podróżujące po Kaukazie.—Żalowałem bardzo że nie mogłem się z nimi poznać, bo obie Lady na parę godzin przed moim przyjazdem, wyjechały na maulach w góry, gdzie im miano pokazać lodowce nie bardzo się daleko znajdujące.—Nie wiem czy angielskie Lady były swą wycieczką zadowolone, ale jeżeli we wszystkim lubią oryginalność, jak to przystało córom Albionu, to zapewne w Kobi wyrzekną: *It is highly satisfactory!* dowiedziawszy się w jaki sposób przedają tam drzewo, na zawsze chłodnej pocztowej stacji. Drzewo sprzedaje się tam za-

\*) Tak w Gruzji nazywają chleb, mający tam zawsze formę placków.

wsze na wagę, i to nie inaczej jak po *abazie* \*) za funt.—W tych zaś czasach, kiedy drogi tak są zawałone śniegiem, że nawet na maulach nie przewieźć nie można, wtenczas cena jednego funta drzewa dochodzi do dwóch abazów.—To zresztą rzadko się zdarza, bo wielkie lawiny spadają w tych miejscach, mniej więcej perjodycznie, i to co siedm lat.

Z Kobi do Kaszauru, przejechaliśmy połowę drogi do zachodu słońca.—Musieliśmy być wtenczas na największej wysokości przejeżdżanych gór, bo nie tylko nad drogą, ale nawet na drodze miejscami leżały śniegi.—Ostrość i rozrzedzenie powietrza wyraźnie dawały się czuć płucem. W pejzażach panowała pęknopność tylko i osowiałość.—Wegetacji już tam żadnej nie było, oprócz mchów ciemnych, żółtych i zielonych, widniejących na skałach i rozścielających się po ziemi. Na drugiej połowie drogi zaszły dwie przemiany, raz że nam przyswiecał księżyc, drugi żeśmy się już stopniowo zaczęli spuszczać z gór, co było bardzo

\*) *Abaz* (czterdziści groszy), gruzyjska moneta zaciągająca od Kobi kursująca po Gruzji.



na rękę memu spiczacemu się kołedze, bo mogliśmy prędzej jechać. Jakoż jechaliśmy całą noc. Musiałem się na to zgodzić, bo kolega ciągle bębnił mi w uszy, że od Stawropola do Tyflisu, tylko pięćset werst, i że jedziemy nadzwyczajnie długo.

Dzwonek dzwonił, księżyc świecił, z dolin i wąwozów wydobywały się lekkie mgły i kapały góry w swem przezroczu. Obłoki obok nas, nad nami, i pod nami, tworzyły najrozmaitsze kształty, i ciągnęły z zachodu na wschód.— Na rydwanie tej ruchliwej obłocznej fantazji, unosiły się niby jasno-skrzydłe anioły, trzymające już to wzniesione krzyże, już mające ręce złożone jak do modlitwy.— Ta napowietrzna migracja anielskich postaci, nad temi samemi szlakami, któremi przechodzili barbarzyńcy z głębi Azji, wprowadziła mię w labirynt marzeń. Czulem żeśmy jechali, żeśmy stawali, żeśmy znowu jechali, ale już nie zwracałem uwagi na otaczające mnie przedmioty. Rozmarzony dziwadłami gór i światłocieniami księżyca, byłem w jakimś idealnym świecie.—Po niejakim czasie, myśli moje inny znowu wzięły kierunek,—zagłębiłem

się w sobie, przebiegałem całą moją przeszłość... Później stanęła mi przed oczyma przeszłość, posępna jak widmo, ciemna jak żaloba, chłodna jak ostrze sztyletu, i tak znużony myślałem zasnąłem.

Dzwonek dzwonił, promienie wschodzącego słońca dotknęły się mych oczu, — spojrziałem. Byłem w rozkosznej dolinie złocejącej się kłosami, wiejski gruzyjski lud z sierpami i kosami dążył na pola, i śpiewał ochoczo. Przypomniałem sobie w tyle pozostałe grzbiety gór wyższych, ich chłód, ich osowiałość, ich nocny omglony koloryt, i wszystko to wydało mi się snem prawdziwym.

Jesteśmy więc w Gruzji, w kraju co lubo wsząd otoczony mahometanami, wiele ucierpiał za swą wiarg, nie wyrzekł się jej jednak, i wytrwał do końca. W swoim miejscu powiem o niej więcej, również jak o jej młodszych siostwach, chrześcijańskiej Imeretji i Mingrelji. Teraz dotknę jej przelotnie, dla tego samego chociaż, żeby nie przerywać topograficznego ciągu dalszych moich wędrówek. Wracam więc znowu na pocztową drogę.



Jechaliśmy wspomnianą doliną, na której polach pracował lud z poblizszych gruzyjskich osad. Dolina ta miała swoje spadzistości, tak że jeszcze miejscami spuszczały się z pagórków, nimśmy dojechali do Duszetu.

Duszet, jest miastem powiatowem, ma przeszło trzy tysiące mieszkańców, trzecią część jego ludności stanowią Ormianie, którzy gruzyjskie miasteczka obsiedli tak jak nasze żydzi. Miejscowość Duszetu nie ma nic powabnego, ulice kręte, ściśnione, domy bez dachów, i tylko z terasami, miejscami ciągną się szeregi już to sklepów, już duchanów, a pośród tego wszystkiego wznoszą się trzy, czy cztery, gruzyjskie i ormiańskie kościoły. Europejskich domów z dachami, ledwie kilka można naliczyć, między którymi najwięcej bryluje powiatowa szkoła, żółto pomalowana. Tuż w mieście, z prawej strony, sterczy mikroskopiczna stara forteczka; nie dawno odnowiona i wybielona, w której się lazaret wojskowy znajduje. Otóż i wszystko co Duszet w sobie zawiera.

Gruzini mają bardzo przyjemną powieszchność; lecz na okrzyczaną piękność Gruzinek zgodzić się nie mogą. Gruzinki są prawie wszy-

stkie brunetki, z pięknymi oczyma, ale mają jednakowy wyraz twarzy, i nadzwyczajnie duże nosy. Ta monotomność lica szczególnie przy jednakowym wzroście, wprowadza czasem w ambaras mało oznajomionego z gruzyjskimi typami. Można się witać z osobą zupełnie nie znaną, i nie poznać starej znajomej, co pod czas mego pobytu w Gruzji nie raz mi się zdarzało. Ubior Gruzinów podobny jest do staropolskiego; czuchi ich z rękawami na wyloty, odpowiadają zupełnie kontuszom, a materjalne archałuchi, nie wiele się różnią od żupanów. Gruzini nie noszą tylko pasów, a czapki ich spiczaste, zawsze są z drobnego, czarnego baranka. Ubior Gruzinek nie podlega kaprysom mody. Gruzinki tak się ubierają jak ich prababki. Suknie ich w pasie obcisła kolorowa wstążka, której końce bardzo długie spadają na przodzie; gors sukni wycięty, i obłożony zawsze różowym, niebieskim, lub żółtym atłasem, tworzącym draperję nie przystającą do ciała, i wykazującą niższą część biustu. — Z wierzchu sukni Gruzinki noszą czasem aksamitne kacawejki, najczęściej amarantowe, okładane tumakami, a u bogatszych z przodu koło



spięcia nazywane czasem perlami. — Gruzinki na ustrojenie głowy, wiele potrzebują czasu. Włosów nie zaczesują w jeden warkocz, ale rozdziela ją na kilka splotów, które spadają z tyłu. — Ciemie głowy przykryte jest wyciętą chusteczką którą otacza stojący, złotisto-jedwabny diadem, nazwany *tasakrawi*, nadający coś imponującego całej postawie. — Z tyłu zaś głowy, z wierzchu *tasakrawi* spada przezroczysta zasłona, czasem wyszywana w złote lub srebrne gwiazdy i przykrywająca włosy. — Rozumie się, że tak się ubierają arystokratki szlachcianki i księżne i księżniczki, których w Gruzji więcej podobno niż szlachcianek. — Gruzinki należące do średniej i niższej klasy, zakutywają się od głowy aż do stóp, wedle wschodniego zwyczaju, w białe perkalowe czadry. Gdy podobnie przystrojone pruppy przesuwają się po ulicy, to sprawiają nieprzyjemne wrażenie, gdyż oprócz długich nosów i ócz nic więcej nie widać, i każda taka figura ma w sobie coś grobowego.

Wjehawazy w środek Gruzji, widnieją często we wsiach, lub koło wsi, starożytne baszty i nie wielkie zamki, które lud przypisuje za-

waze swej Królowej Tamarze, a które w rzeczy samej, przypominają dawne czasy feudalnej Gruzji, i broniących się tam Książąt z swymi wassalami, od mahometańskich napaści i przesładowań. Ciężkie to były czasy dla tej krainy. Nie raz królowie jej musieli się wyrzekać wiary chrześcijańskiej, a przyjmować mahometańską jedynie dla tego, żeby być utwierdzonymi przez Szacha Perskiego, i żeby rządząc swym krajem zabezpieczyć chrześcijańską wiarę swych poddanych.

Z Duszetu do Tyflisu już tylko dwie stacje pocztowe. Na połowie drogi leży Mechet, znany Ptolomeuszowi pod nazwiskiem Mestlely, dziś tylko wioska, a od końca Vgo wieku stolica królów Gruzyjskich. Mechet sięga prawie czasów bajecznych, i był założony przez Mechetesa syna Kartlosa, od którego Gruzini przybrali swoje nazwisko \*). Król Daczy, roku 499, po Chr. przeniósł stolicę do Tyflisu założonego przez swego ojca Wachtanga

\*) Gruzja, jest to nazwisko europejskie, Gruzini sami, siebie nazywają Kartalinami, a kraj swój Kartalinia.



Gurg Aslana, i odtąd Mechet zaczął stopniowo coraz bardziej upadać.

Mechet, otaczają od wjazdu z lewej strony piękne sady; kwitły w nich ponsowe granaty, i rozścielały się bujne winogrodowe gałęzie, które po słupach i lisztwach wiły się festonami i tworzyły jakby długie altany. Trzeba się było dziwić, do jak znacznej grubości dochodzą pnie tej bachusowej latorośli, z wielkiem zamięłowaniem wszędzie w Gruzji uprawianej.

Za sadami z tejże samej strony ukazały się na wzgórzu ruiny, a później z prawej strony, zachwylił mnie starożytny kościół w byzantyńskim stylu z piękną kopułą, zupełnie od czasu zczerniałą. Kościół ten bardzo dobrze utrzymany, w którym i teraz odbywa się nabożeństwo, ze wszystkich czterech stron ma jednakowe wystawy, okryte mchem i bluszczem, i ozdobiony jest ciemnymi kamiennymi płaskorzeźbami, składającymi się z arabsków wytwornej koronkowej roboty. Całość tego starożytnego kościoła, ma w sobie coś lekkiego i dziwnie zachwycającego. Na przodzie, w jednej linii z wrotami i w tejże kościelnej zagro-

dzie, lewą stronę zajmuje klasztor Gruzjskich zakonnic, a prawą kaplica Świętej Niny. I klasztor z odwalonymi tynkami, i nowa wybielona kaplica, nie w sobie nie mają szczególnego, i nie harmonizują z pięknym kościołem.

Ztamtąd przejeżdża się zupełnie pusty plac, przytykający do gromady ziemlanek, nie tworzących żadnej ulicy, ale porozrzucanych na wszystkie strony. — Po nad te ziemlanki wznosi się drugi wysoki, ogromny kościół, z zieloną kopułą, otoczony małą niziutką forteczką ze strzelnicami. — To katedra, miejsce koronacji dawnych Królów Gruzji, w której niektórzy z nich są pochowani. Katedra ta powstała w IIIim wieku, lecz że później nie raz była niszczonej i palonej przez mahometan, ciągle więc restauracye, pozbawiły ją tego starożytnego kolorytu, tak upiększającego stare kościoły. W zewnętrznych ścianach przegładają całe warstwy nie jednostajnego materiału, składającego się z żółtawych, zielonkowatych, i niebieskawych kamieni, co razi oko nieregularną pstrociną. Byłem i wewnątrz, bo z powodu reperacji, drzwi były



otwarte. Tam jeszcze mniej zostało śladów starożytności. Malowidła religijne na ścianach wykonane w połowie XVgo wieku, i psujące się już wprawdzie od czasu, zostały również zabielenone, i wewnątrz wyglądało jakby niedokończone. Nagrobki Królów, stanowiły ogromne płyty kamienne z napisami które w różnych miejscach po środku katedry, wydobywały się z piasku i żwiru, bo ten ostatni zastępował miejsce kamiennej posadzki. Nagrobków tych dawniej było daleko więcej, (gdyż szereg panujących w Gruzji, od Farnabaza do Grzegorza VIII, t. j. od 268, przed Chr., do 1800 po Chr., liczył ich dziewięćdziesięciu ośmiu,) — lecz dziś zaledwie kilkanaście ich ocalało, i z tych nie wszystkie posiadają napisy, siedm tylko następnych osób mają na nich zachowane imiona:

1. Król Wachtang Gurg Aslan, zmarły w V wieku.
2. Królowa Marya, małżonka Króla Mahometanina Rostoma, zmarłego w połowie XVII wieku.
3. Król Herakliusz II, zmarły w roku 1796.
4. Królewicz Leon, syn Herakliusza IIgo.

5. Król Grzegorz XII, zmarły w roku 1800.
6. Katolikos Domenciusz, zmarły na początku XVIII wieku.
7. Katolikos Antoni, zmarły w roku 1788.

Katedra bardzo jest teraz uboga, jeden nią tylko zarządza ksiądz, któren ma swój domek koło forteczki. Samą przeszłością tylko sławna, raz ledwo na rok, podczas odpustu, napelnia się Tyfliskiem duchowienstwem i nabożnymi ściągającymi się z całej Kartulinii.

W Mechecie, Aragwa wpada do Kuru, za którym zaraz na wysokiej górze, czernieje jeszcze z czasów pogańskich, stara, ogromna świątynia z kopułą. Miejscowe podanie utrzymuje, że w późniejszych czasach mieszkał w niej jakiś święty pustelnik, co codzień chodził na nabożeństwo do katedry, po lancuchu zawieszonym nad rzeką między dwoma kopułami.

Jedziemy nad Kurem, już to oddalając się, już zbliżając do niego. Miejsca pod koniec już zupełnie bezleśne, a w oddaleniu z jednej i drugiej strony, ciągle się snują pasma gór nagich, nie wielkich.

Jadąc ciągle prostą drogą, zawracamy raptem na prawo, i za Kurem, to jest z lewej je-



go strony ukazują się: najród Niemiecka kolonja \*), później przedmieścia nazwane Kukia i Aułabar, a później i sam Tyflis \*\*), rozrzucony z prawej strony Kuru, wijącego się wśród skalistych wysokich brzegów.

Ze strony zachodniej i południowej, miasto otaczają pasma gór dosyć wyniosłych i bezbarwnych. Na górze zachodniej, nazwanej *Mta-Cminda* (Święta góra), i prawie pod jej szczytem, bieleje kościół Ś. Dawida z klasztorkiem. A na górze południowej, wznoszą się malownicze ruiny, ciemnego, starego zamku, od którego mury obronne, ciągną się ku miastu, po grzbiecie góry. To ślady fortecy, napominające czasy klęsk i wojen w Gruzji. Pod tą samą górą, piętrzy się najdawniejsza azjatycka część miasta, składająca się tylko ze ściśniętych domków z szarego kamienia, bez dachów, nazywanych *saklami*.

Tyflis ma przeszło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, i na co tylko spojrzysz, wszędzie

\*) Niemieckich kolonii kilka jest na Kaukazie. Są to Wirtemberczycy, którzy się przesiedlili przed czterdziestą laty.

\*\*\*) Gruzini nazywają go *Tbilisi* (cieplice), od gorących siarczanych źródeł, w które Tyflis obfituje.

można dostrzedz mieszanie europejskiego z azjatykiem. Długie i szerokie ulice z europejskimi ogromnymi piętrowymi domami, przylegają do ciasnych, krętych zaułków, napelnionych małemi saklami. Miejscami wznoszą się ogromne domy bez dachów, tylko z terasami, tak że nie przyzwyczajonemu oku miasto wydaje się jakby nie dawno po pożarze. Nie widać nic białego; — domy żółte, lub szare, najczęściej z ogromnemi balkonami, malowanemi na niebiesko, lub zielono, równie jak ściany do których przylegają. Śród tej pstrocinny w różnych miejscach wznoszą się różnokolorowe kopuły, trzydziestu gruzyjskich i ormiańskich kościołów, kościoła katolickiego, i meczetu.

Zapewne nie wiele się znajdzie takich miast, w którychby ludność miała w sobie tyle rozmaitych narodowości, ile ich w sobie stolica Gruzji zawiera. Najprzód Rossjanie, których mnóstwo wojskowych i cywilnych stale mieszka w Tyflisie; gdyż tam jest sztab-kwatera oddzielnego kaukazkiego korpusu, i główny zarząd kaukazkich i zakaukazkich prowincyj.



Później po Gruzinach, najliczniejsi są Ormianie, w których ręku kaukaski handel zostaje. Do stale osiadłych liczą się jeszcze, chociaż w mniejszej liczbie: Grecy, Turcy, Żydzi, Persowie, Tatarzy, Imeretyni i Mingreley; — oprócz tego, Europejczycy różnych narodów, i kaukazy Górale rozmaitych plemion, stanowią jakby warstwy napływowe, bo najczęściej goszczą tylko chwilowo.

Nie pociesznieszego, jak kiedy ta ludność w różnych swych ubiorach, gromadzi się na bazarach, majdanach i ulicach, gdzie oprócz pieszych, przesuwiają się jeszcze koczki i karety, napelnione damami, których świecące tasakrawi, i powiewające łyczagi, znajdują się pomieszane z najświeższymi paryżkami kapeluszymi, kwiatami i strojami. Na Erywańskim placu, i na innych większych ulicach, ciągle się dostrzega tę mieszaninę ubiorów. Tu oficer prowadzi pod rękę damę, ubraną po gruzyjsku, — tu znówu Gruzini w swych narodowych ubiorach, idą obok mężczyzn we frakach, lub dam ubranych po europejsku. Koło nich ciągnie karawana wielbłądów, którą omija kilku konnych Azjatów w góralskich czerkie-

skach. Na węgle ulicy leżą Imeretyjscy *Nu-szy* (tragarze), których narodowe czapki stanowią sukienne denka, podpiete rzemyczkami. Z drugiej strony po trotoarze, biegnie truchtem kilkanascie drobnych mulów objuczonych koszami węgla, — długouchych popędza kijem obszarpany chłopiec, i coś do nich przemawia, powtarzając na koncu *ac! ac!* Na Ormiańskim bazarze dorożkarz nie może przejechać, i krzyczy *Kabarda!* — co znaczy przecz z drogi. Tam ciągną się sklepy z towarami, dalej przemieszane sklepy różnych rzemieślników, w których według wschodniego zwyczaju, sprzedają i pracują nad swemi rzemiosłami, na ulicy prawie tak jakby w domu. Dalej nad Kurem, wznoszą się długie, ciemne karawan-seraje, napelnione wschodnimi towarami, przedawanymi przez Ormian, Persów, i Tatarów.

Razu jednego wybrałem się na dłuższą wycieczkę, — chciałem z jakiego wzgórza zobaczyć całe miasto. Szedłem więc ku stronie południowo-zachodniej, nazwanej *Salatalaki*, zabudowującej się w szerokie ulice, upiększone ogrodami. W mieście po drodze szczególnie zwracały moją uwagę gruzyjskie kościoły, któ-



re najczęściej są w byzantyńskim stylu. Żaden z nich nie ma barwy starożytnej, gdyż Tyflis niszczone przez swych wrogów, musiał się ciągle budować i odnawiać. Ostatnie najście Persów pod dowództwem Aga-Mahometa, miało miejsce w 1795 roku. Wtenczas, jak powiada ówczesna kronika, nie został w Tyflisie kamień na kamieniu. Lecz odbudowujące się kościoły, wznosiły się zawsze w tychże samych miejscach i do wielu z nich przywiązane są legendy z bardzo dawnych czasów. Zacytuje tu jedną z nich, odnoszącą się do dwóch kościołów.

W połowie Vgo wieku, przestrzeń zajęta teraz przez Tyflis, pokrytą była uprawnemi polami, przylegającemi ze wszech stron do gór zarosniętych nieprzebytymi krzakami tarniny. Na prawym brzegu Kuru, rozścielała się wieś pod murami wznoszącej się na górze tylko co zbudowanej fortecy, gdzie na murach płonęły ciągle ognie, których Persowie byli wtedy czcicielami. We wsi mieszkali Gruzini już Chrzescijanie, Żydzi i Persy. Forteca i wieś należały do tych ostatnich, i niejaki Chozroes, rządził tam w imieniu swego Panującego, jakby za zgodą Króla Gruzjijskiego rezydującego

w Mechecie. Chozroes zauważył, że Persowie zaczęli przechodzić na wiarę chrześcijańską. Zwrócił więc na to uwagę i po niejakiem czasie przekonał się, że jakiś pustelnik przybywał często do wsi i ciągle ich nawracał. Odtąd, przebiegły Chozroes zaczął nad tem rozmyślać, jakby pustelnika zgładzić ze świata rękoma samychże Chrzescijan, i następne zdarzenie zdawało się sprzyjać jego zamiarowi. Za murami fortecy znaleziono raz zabitego Persa. Kiedy się o tem dowiedział Chozroes, podkupił natychmiast dwóch czcicieli ognia, którzy mieli wyznać, że widzieli na własne oczy, starego pustelnika popełniającego tę zbrodnię, jedynie dla tego, że Pers nie chciał zostać Chrzescijaninem. Gdy rzecz została ułożoną, schwytano mniemanego zbrodniarza, a razem dla ukamienowania go, naznoszono za wsią mnóstwo kamieni i zebrano tam wszystkich Chrzescijan. Kiedy już wszystko stało się jak Władzca zażądał, wyprowadzono na plac dwóch świadków i pustelnika, któremu ogłoszono wyrok i zapytano czy nie ma czegokolwiek na swoje usprawiedliwienie. Pustelnik stał oparty na kij, wznosił oczy ku niebu i po-



wiedział: „Nie nie wiem co się tu dzieje i pierwszy raz widzę tych dwóch ludzi, którzy mają być świadkami niepopelnionej przezemnie zbrodni. Bóg tylko jeden jest moją ucieczką, i ten mnie wyratuje, jeżeli to się będzie zgadzać z Jego świętą wolą.“ Wtenczas kazano świadkom zrobić zeznanie w przytomności wszystkich zgromadzonych. Ludzie zbliżają się żeby lepiej usłyszeć, lecz świadkowie zupełnie o niemieli i pomimo największych usiłowań, nie mogą wydać najmniejszego głosu. Wszystkich przytomnych mocno to zadziwia, wtem cisnie się przez tłum jakiś nieznamy, i wyznaje że on jest zabójcą Persa. Lud kleka przed pustelnikiem, a zgromadzone i już wzniesione kamienie, służą natychmiast do założenia fundamentu kościoła. Pustelnikiem tym był Święty Dawid, jeden z trzynastu Ojców Syryjskich, który w tejże chwili zniknął i przenosił się do gór Karajarskich w Kachetji. Imetryjska zaś góra, koło Tyflisu, gdzie miała być pieczara wykuta w skale, obok fundamentu kościoła założonego przez Świętego Dawida, otrzymała od-tąd nazwisko Świętej góry (*Mta-Gminda*). Chrześcijaństwo długo szukali świętej pieczary, ale za-

dnemu nie udało się jej odkryć, bo góra była nadzwyczaj stroma i nieprzebytymi krzakami, tarniny otoczona.

Wiele lat upłynęło od tego czasu, aż jedna pobożna Gruzinka imieniem Anna, zrobiwszy sobie postanowienie zostać zakonniceą, miała jedną razą widzenie, że Święty Dawid ukazał jej miejsce dla zbudowania klasztoru zakonnice. Anna udała się na ukazane miejsce Świętej góry, i znalazła tam wykutą pieczarę naniesioną piaskiem potoków, obok której widać było fundament kościoła. Anna, żeby oczyścić pieczarę, i wiodącą ku niej ścieżkę, pracowała sama i ciągle zbierała robotników, którzy utrzymywali że pracują bez żadnego wysiłku jakby nie swoją mocą. Tyflis już był wtenczas miastem dość ludnem, a liczba dobrowolnych robotników tak się ciągle powiększała, że we dwa lata stanął kościół i klasztor zakonnice. Te to są budynki, które bieleją na południowej górze, i z ulic miasta wyglądają jak przyklejona wianetka do prostopadłych skał.

Wyszedłszy z miasta, idąc ciągle pod górę, między fruktowemi i winogradowemi sadami, chciałem się wdrapać na *Mta-Gminda*; lecz po-



zniej pokazało się że wybraną przezemnie drogą nie można się było tam dostać. Poszedłem jeszcze dalej pod górę, i niespodziewanie znalazłem się na katolickim cmentarzu, również panującym nad miastem, chociaż nie tak wysoko położonym, jak klasztor Świętego Dawida.

Z lewej strony cmentarza, wznosiła się dość obszerna, żółta, murowana kaplica, do której z różnych stron przylegało mnóstwo nagrobków i krzyżów, mających polskie, francuzkie i gruzyjskie napisy \*). Między polskimi napisami, najdawniejszy był jeden wyryty na kamieniu, zapewne według życzenia samego zmarłego, gdyż składał się z następujących dwóch wierszy:

Zmordowany losem okrutnym niestety!

Zdałyem do jakiej dąty człowiek mety.

U dołu było wyrażone: imię, nazwisko rok 1820.

Inne polskie nagrobki były z czasów daleko późniejszych a najpiękniejszy z nich, był z napisem żony, mężowi.

\*) Gruzini wyznają grecką wiarę i mają swój cmentarz w innej zupełnie stronie. Gruzycyjskie napisy wyryte są na grobach Ormian, gdyż nie są jacy z nich są wiary gregoriańskiej, ale część ich znaczną wiarę katolicką wyznaje.

Niechaj ten kamień twą pamięć zatrzyma,  
Na obcej ziemi pośród obcych ludzi,  
Może w uczuciach rodaka pielgrzyma,  
Z tęsknem wspomnieniem modlitwę obudzi —  
Modlitwę szczerą — jak żal niezgłębiony  
Niepocieszonej, po stracie twej żony.

Z cmentarza długo patrzyłem na miasto, ani sposób było oderwać oczy, tak pięknie, tak malowniczo ztamtąd Tyflis wygląda. Sałalaki zieleniały ogrodami, za niemi piętrzyły się saki i wznosiła się góra z poważnemi ruinami. Z miasta gwar nie dolatywał, a tylko w ulicach i na placach, widać było ruch i wznoszące się tumany kurzawy, po nad które wydobywały się większe domy, pokryte blachami, i dachówką, a miejscami wznosiły się: szare, zielone, niebieskie, czarne kopuły i daszki kościołów i dzwonnicy. Kur, sliczną seledynową wstęgą wił się przez miasto. — Na lewo tuż za nim, widać było Niemiecką koloniję, przedmieścia Kukia i Awłabar, za którymi, nagie wzgórza jakiegoś niepewnego kolorytu, zakrywały dalszy horyzont; — a więcej na prawo, widniało inne jeszcze przedmieście (Naftlug), oddalone prawie o pół mili i leżące nad Kurem, wśród zieleniejących ogrodów.





## III.

**P**rawie po dwu letnim pobycie w Tyflisie, zdarzyło się tak, że 8/20 Marca 184\* r. wystąpiłem w pochód, a to żeby wojować z kaukaskimi Góralami.

Expedycja nasza miała ważne rzeczy na widoku, bo jej chodziło o podbicie aulu Czyrkiej, a razem o uśmierzenie klanów Aucho i Salatau. Czyrkiej ważną gra rolę w północnym Dagestanie. Oddzielony rzeką Sulakiem, od podwładnych Rossyi aulów, był siedliskiem śmiałych *dżygitów* \*) i gniazdem rozbojników różnych klanów goralskich, a le-

\*) *Dżygit*, chwat, zuch, śmiałek; — cecha w wielkiem po- szanowaniu u Górali.

żąc już prawie na granicy Awaryi i Dagestanu, tworzył jakby *status in statu*, którego godłem było rabować, nie tylko prowincje podwładne Rossyi, ale nawet sąsiednie auly. Z pagórka na pagórek, ciągnęliśmy więc po prawym brzegu Kuru, i coraz bardziej oddalaliśmy się od Tyflisu, co sličnie ztamtąd wyglądał — malowany, błyszczący, upstrzony kościołami, rozrzucony na wzgórzach i w dolinie; to skrywał się za otaczającemi go górami, to znowu jak żalotna Gruzinka, z pod czadry gór, wykazywał swą optyczną twarzyczkę. Bloto tak było ogromne, że ledwie przed wieczorem zdążyliśmy na nocleg do wsi Kody.

Kody, również jak prawie wszystkie wsie gruzyjskie, najnudniejszą ma postać. Tylko mały kościółek, dwa duchany i ludzie bosi i oberwani, kazali się domyślać że się we wsi znajdujemy; gdyż pomieszkania były niewidzialne i prawie całkiem w ziemi zarzyte.

Przez ciekawość spuściłem się do tych otchłani podziemnych. Wewnątrz ciemno, ani okna, ani żadnej dziury, kędyby się światło przebieć mogło. Na środku tłało ognisko, lecz że dym nie miał żadnego wychodu, wszędzie go było pełno.



Kobiety i dzieci skurczywszy nogi pod siebie — grzały się przy ogniu. Tuż przy nich, krówa z cielęciami, kilka świń i owiec, składały ich nierozdzielne towarzystwo, które już to pojedynczo dobywało głosu, to znów dawało się słyszeć jakby orkiestra w Tutti. Wszystko to od razu dało mi wyobrażenie o niedzielnym życiu kmiotków gruzyjskich, którzy przez lenistwo i brak przemysłu, nie umieją korzystać ze swej płodnej i we wszystko obfitej ziemi. Na widok takiej nędzy, straciłem ochotę do dłuższych postarzeń i pospieszyłem do obozu.

Namioty naszej Kompanii (Pierwszej Kompanii Saperów), nie były wyciągnięte pod sznur, lecz wszystkie stały w kupie, na wzgórzu, niby to na suchszym miejscu, lecz i tam wyglądały jak gęsi kąpiące się w błocie. Wszedłem do pierwszego z brzegu namiotu, rozesałem burkę, i okrywszy się płaszczem, położyłem się żeby wypocząć po pierwszej podróży. Niebawem do tegoż namiotu nacisnęło się mnóstwo Niemców, bo ich w naszej Kompanii podostatkiem służyło. Nie byłem usposobiony do rozmowy, nasunąłem więc czapkę na uszy, z postanowieniem spać w najlepsze. Lecz na nieszczęście, gadatliwi

germańskie plemię wiele wrzasku robiło, a najwięcej hałasował nasz Doktor, rodem z Wiednia, i dla tego o swej stolicy zawsze najchętniej rozprawiający. Deszcz znówu lunął i bił jakby gradem pod namiocie. Doktor przemógł wszystkich jako opowiadacz, inni pozostali słuchaczami. Nareszcie zmniejszył się hałas; gdy mnie wszystko do snu uspasabiało, — kiedym tylko co miał zasnąć, bezcenne, *bei uns in Wien*, ulubione przysłowie Doktora, ciągle mnie budziło; bo Doktor tak donośnie swój Wiedeń okrzykiwał, jak gdyby chciał być na jego forszatach słyszany. Nareszcie zasnąłem, lecz i we śnie Niemcy mnie nie opuścili, snił mi się to Kościół Ś. Szczepana przepelniony modlącymi się Niemcami, to znówu przechadzki po Praterze z elegantkami germańskimi; gdy w tem rozległy się dzwony, i zewsząd słychać było krzyki, że Turcy wkroczyli. Później ucihły dzwony, i wyraźniej dał się słyszeć apel. Spojrzałem na nasz obóz, już większa część namiotów znikła; słychać tylko było szczyk oręża i rżeniu koni. Co tchu poleciałem, dosiadłem konia, i właśnie wtedy złążyłem do swego plutonu, gdy Sobieski obejrząwszy kawalerję rzeszy niemiec-



kiej do naszego się regimentu zbliżał. Król Jan był coś zamysłony, jechał na pięknym siwym rumaku, i pokrecał wiasa. Suknię miał aksami-tną, karmazynową, podbitą sobolami ze złotemi petlicami, a na głowie kolpak soboli. Podjechał jeszcze bliżej, długo starszyczinie dawał rozkazy potem przeżegnał się, dobył miecza i pojechał naprzód. Za nim nasz pułk pierwszy wystąpił. Rozpuszczono chorągwie, rozwito proporce, i ozwał się śpiew Boga-Rodzico. Potem zagrzmiały trąby, odezwały się piszczałki, nasze pułki szły jeden za drugim, a rzesza niemiecka z tyłu. Przed nami podniosła się kurzawa i ze wszech stron Turcy nas otoczyli. Poczęła się walka, krew potokiem się lała, turbany i głowy rzesi-ściel spadały. Nasz pułk najdzielniej rąbie... ale w tem Doktor zakrzyczał: „*Stehen Sie auf! Stehen Sie auf!*”. Przecieram oczy, oglądam się na wszystkie strony, radbym zapytać gdzie mój pałasz, gdzie konie — ale tuż przy mnie leżące le-derwerki najlepszą były odpowiedzią. Wstałem jak niepyszny i z nosem mocno zwieszonym, bo też lepiej mi było marzyć na temat *bei uns in Hien*, aniżeli się ocoknąć i zobaczyć w per-spektywie — trzy mile błotnistej drogi!

Obóz się ruszył, — dzień chłodny, pochmurny, prawdziwie marcowy, a miejsca, przez które przechodzimy, są jedne z najprozaiczniejszych na Kaukazie. Idzie się ciągle szerokim roz-łogiem. Z obu stron, to szare, to brunatne, a zawsze nagie i karłowate góry. W poro-wnaniu z innymi, jest to martwy, nie urozma-icony krajobraz.

I teraz ledwie o zachodzie słońca, do wsi Muganly na nocleg dochodzimy. Wieś ta od Ko-dy prawie się niczem nie różni, jest to rodzo-na jej siostra. Takiż sam kościółek, takież du-chany, i takież jamy dla ludzi. Tylko dalej bie-łają dwa piękne domy w ogrodach, jeden ple-bana, a drugi wsi dziedzica a razem i księcia; bo w Gruzji komu los choć kilka chat wydzieli, zaraz mu i mitrę daje w dodatku.

Nazajutrz znówu bardzo rano wychodzimy, bo przechody wielkie. Na drodze uderza w oczy piękny most na Chramie. Most, a jeszcze most wielki, jest to osobliwość na Kaukazie, gdzie podczas pochodu, prawie co dzień zdarzają się bystre rzeki, rzeczki i potoki, które w bród trze-ba przechodzić. Most ten czerwonym nazwany, jest perskiej architektury i pod względem sztu-



ki godzin uwagi. Wspiera się na czterech arkadach, na środku, ma małą wieżyczkę z okrągłym pokojem, a wewnątrz, z obu stron po bokach są karawanseraje dla podróżnych. Tuż obok widać ruiny innego mostu, jakoby przez Pompejusza zbudowanego. Nie wiem jak dalece temu wierzyć, chociaż wiadomo że Pompejusz wojując z Mitrydatem dochodził aż do stepu Mugań, skąd musiał się nazad cofnąć, bo mu węzeł przechodu nie dozwoliły.

Po stronach tu i owdzie widać jeszcze wsi gruzyjskie lecz na dniówkę już do wsi tatarskiej Sało-Ohły dochodzim; bo Chram jest jakby granicą dzisiejszej Gruzji i muzułmańskich prowincyj. Sało-Ohły ma fizjognomiję zupełnie podobną do wsi poprzedzających, tylko nie widać ani kościółka, ani duchanów, bo mieszkańcy Tatarzy wiarą, językiem, zwyczajami i fizjognomiją, zupełnie się różnią od Gruzynów.

Bezustannie wojny, spustoszenia, i emigracje narodów z Azji do Europy, których Kaukaz był teatrem, tak ciągle zmieniały jego fizjognomiję, że o pierwiastkowych jego mieszkańcach nie wiele zostało wiadomości. Dawni Melanchleni, Cercety, Torcaty, Agry, Dänderjany;

i tyle innych o których Strabon i Pliniusz wspominają już znikli na zawsze i służyć tylko mogą za temat do uczonych sporów historyków i podróżnych. Najścia Czyngis-Chana, Tamerlana, i wcześniejsze napady Hunnów, Chazarów i Arabów, musiały do reszty i tak już mieniające się oblicze kraju przemienić. Długi pobyt Mongołów odcisnąłby na zawsze swe piętno za Kaukazem, gdyby nie późniejsze zawojowania i przesiedlenia Persów, którzy tyle śladu po sobie zostawili, że w dzisiejszych mieszkańcach nie ma mongolskiego. Są to wprawdzie Tatarzy, ale już w nich wiele się perskiego przebija. W dzisiejszych zakaukaskich prowincjach nie widać płaskich mongolskich twarzy, naród kształtny i piękny. A miast mieszkańcy chociaż już od dawna do Persji należeć przestali, ale ich ubiór, zwyczaje i cywilizacya najlepiej przekonywają, że jeszcze i teraz Persję za swą mistrzynię uważają. Język ich jest tatarski, narzecza *Tiurk*, z małemi odmianami w całym zakaukaskim kraju używany \*): Lecz i w tym względzie hold Per-

\*) To tylko się stosuje do Zakaukaskich prowincyj leżących na płaszczyznach, bo w górach ogromna gmatwanina je-



sji oddają, bo w niektórych miejscach po nad Kaspijskiem morzem, mówią językiem *Tat*, to jest zepsutym perskim, a bogaty język farsycki, jest językiem piśmiennym wszystkich zakaukaskich prowincyj.

W dalszych kilku-dniowych pochodach, nie natrafiłszy na nic godnego uwagi. Położenie ciągle jednakowe, dopiero na drodze do Szamchoru zupełnie się odmieniło. Nie stało już gór i przed nami step, ale to step w całym znaczeniu słowa. Miejsce najrówniejsze, zupełnie puste, jak sięgnąć okiem, nigdzie ani drzewa, ani krzaka nie dostrzeżesz. Tylko w dali przed na-

---

zyków Często tam na kilku-milowej przestrzeni, naliczyć można kilkanaście zupełnie odrębnych języków. *Göldenstädt*, który podróżował po Kaukazie przy końcu przeszłego wieku, wylicza tylko ośm głównych kaukaskich języków, rozdzielających się na wiele narzeczy; lecz *Göldenstädt* nie był w górach i nie znał wielu wtenczas niepodległych plemion. Żeby stanąć wezo zaopiniować o kaukaskich językach, trzeba by chyba utworzyć całe towarzystwo złożone z uczonych i krajowców. To wszelako jest pewnem że tatarski język *Turk*, w wielkiej tam jest używaniu. Umiejąc ten język można podróżować aż do Indji, i wszędzie się nim można rozmówić; tak zupełnie jak francuzkim w Europie. Język zaś arabski odpowiada łacińskiemu w Europie, nie tylko w zakaukaskich prowincjach, ale i w niedostępnych kaukaskich górach Mullowie ciągle słęca nad arabszczyzną.

mi widać jakby słup pocztowy, który co chwila rośnie nabrznięwa. Strudzonemu oku, co w tym pustym obszarze na niczem spocząć nie może, już zdaje się, że to tylko złudzenie, że to jakieś *fata-morgana*. Dopiero po kilku-godzinnej drodze, (dobrze zadarłszy głowę, można było oglądać ten zabytek starożytności. Jest to wysoka wieża *Szamechor*, która się samotnie wznosi pomiędzy ruinami, nad rzeką tegoż imienia. Utrzymują że miało tam być miasto, które kwitnęło handlem i wrzało ludnością. Wieża zaś początek swój ma być winną miłości. Władca Szamchoru, zakochawszy się w swej córce, chciał ją pojąć za żonę. Długo córka ani słuchać o tem nie chciała, lecz nie znajdując żadnych środków oparcia się, przyrzekła że wtedy zaślubi swego rodzica, gdy ten na zmazanie przestępstwa, zbuduje meczet i minaret którego wysokością przewyższał wszystkie minarety Iranu. Za ledwie upłynął rok, a już i wielki meczet i ozdobny minaret całkiem były skończone. Ojciec dzień ślubu naznaczył, na ucztę zaprasza, lecz córka wykradłszy się z domu weszła na wierzch minaretu, i z niego rzuciła się na ziemię. Wzdłuż gosińca, takie



podanie usłyszeć można o minarecie i o jakimś Władcy Szamchoru. Dziś ono z ust do ust przechodzi, chociaż pamięć ludu nie zatrzymała ani córki, ani ojca imienia.

Od Szamchoru już tylko jeden przechód do Elizawetpola. 19 Marca (1 Kwietnia) weszliśmy do tej dawnej stolicy Gandzińskiego Chanstwa. Elizawetpol dawniej *Gardza* nazwany, nowe swe nazwisko z tąd wprowadza, że 1803 roku 4 Grudnia, w dzień 8-tej Elżbiety, został przez wojska rosyjskie zdobyty. Wtedy to i Dżewat-Chan ostatni Chan Gandzy poległ w szturmie fortecy.

Nie piękniejszego jak Elizawetpol na wiosnę. Idzie się ciągle pośród ogrodów. W ogrodach domy i kioski. Całe miasto w ogrodach. Słychać tylko szmer wody, co w różne gzygzaki wije się pod drzewami. A wszędzie cisza i tajemniczość, bo wysokie płoty i mury ze wszech stron ogrody otaczają, i ciekawemu kłafrowi nie dostrzedz niepodobna. Z ulicy widać tylko wierzchołki brzoskwiń, moreli, granatów, przy których *czynary* \*) i włoskie orzechy piramidalnie się wznoszą.

\*) *Platanus orientalis*.

Gdziekolwiek tylko przez szczelinę ciekawsze oko dostrzeże pracującego ogrodnika, lub lekką i kształtną Tatarkę osłoniętą różnokolorową czadrą, co lada szmerem płoszona kryje się w głąb gęstwiny.

Z ogrodów wchodzi się na bazar, co zajmuje ogromny prostokąt, tak piękny i równy, jak posadzka salonu, chociaż ludzka ręka żadnych nad nim starań niełożyła. Z jednej strony wznosi się na nim kilka europejskich domów, a z drugiej wysunięte naprzód sklepy i budki, przepelnione wybornymi owocami, ukrywają za sobą liczne karawanseraje. Piękny meczet, zbudowany przez Szacha Abaza, na początku XVIII wieku, fontanna, tu i ówdzie gruppami rozrzucone stoletnie czynary, otóż wszystko co zawiera ten obszerny plac, cały ogrodami zamknięty. Tuż obok widać dawną fortecę zbudowaną przez Turków, którzy tu przed Persami jakiś czas rządzili. Sterczą jeszcze szance i bramy, lecz w fortecy nie ma już żadnej załogi. Zamiast straży, na wałach wszędzie obsiadły pokrzywy i chwasty, które przystępu wzbraniają. Również i wewnątrz wszystko spustoszało. Wałą się gmachy dawnych Cha-



nów Gandzy, w których ostatni Dżewat-Chan rokoszował. Dawniej rozlegały się w nich przeciągle śpiewy pięknych odalisek, calusy, a teraz, teraz słyhać tylko skrzypienie piór twarzących, tu bowiem mieszczą się jurysdykcje powiatowe.

Lecz wróćmy jeszcze na wspomniony plac. Snuje się po nim mnóstwo Tatarów. Jedni rozmawiają swym cudnym harmonijnym językiem, drudzy palą fajki, lub noszą sokoly. Inni pod czynarami zasiedli i czytają dawnych farsyckich autorów!

Na początku nowego mahometańskiego roku (Muharem), plac ten bywa jeszcze więcej ożywionym. Wtenczas, w przeciągu dziesięciu pierwszych dni, odegrywa się tam religijna tragedia *Oj Hassan, oj Hussejn*, znajoma w Zakaukaskich miastach pod przekręconym nazwiskiem *Schachszej Wachsej*.

Żeby zrozumieć ten ich ulubiony utwór, trzeba sobie przypomnieć pierwsze mahometańskie dzieje. Wiadomo że Mahomet nie zostawił potomka płci męskiej, po jego więc śmierci znalazło się czterech pretendentów do Kalifatu. Pierwszym był Ali, jego synowiec, oze-

niony z jego córką jedynaczką Fatimą. Drugim Abubeker, ojciec Ajsty, jego najmłodszej żony. Trzecim Othman, jego sekretarz. Czwartym Omar, najgorliwszy z jego zwolenników.

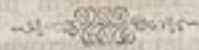
Abubeker pierwszy zawiądował Kalifatem. Po jego śmierci korona dostała się Omarowi, a później Othmanowi, którzy nie długo się nią cieszyli, gdyż obaj byli zabici. Naręszcie Ali został czwartym z rzędu Kalifem. Porządek właśnie tych następstw, był główną przyczyną rozdzielenia się Mahometan na dwie znane sekty; *Sunnitów* i *Szyitów* (\*). Sunnici przyznają czterech pierwszych następców Mahometa. Szyici zaś uważają Abubekera, Omara i Othmana za przywłascicieli, a przyznają tylko Alego. Po śmierci Alego zostało kilku jego synów, z których najstarsi byli Hassan i Hussejn, lecz w tymże czasie zjawil się inny pretendent Moawiach, zajmujący ważne miejsce za życia Mahometa a podczas panowania jego następców już niezależny władca Damaszku. Starszy syn Alego, Hassan, zo-

\*) Persowie i mieszkańcy zakaukaskich prowincyj są Szyitami, a Turcy i kaukazy Górale Sunnitami.



stał otrutym; Hussejn zanadto jeszcze w ten czas młody, schronił się do Alepu, a Moawiah ogłosił siebie Kalifem. Po jego śmierci, rządził Kalifatem jego syn Izyd. W ten czas to Hussejn, wyszedł z małą garstką zwolenników, i pod Kerbelach stoczył bitwę z wojskiem Izydą, zostajacem pod dowództwem Omar-Sada. W tej bitwie Hussejn został zabitym, również jak jego małoletni synowie i wielu innych jego krewnych, między którymi były nawet kobiety. Bitwa ta według historii trwała tylko od wschodu słońca do południa, lecz Mahometanie Szahici, zrobiwszy z tej swojej katastrofy religijną tragedję, odgrywają ją przez całe dziesięć dni. W przeciągu dziewięciu pierwszych dni powtarzają się ciągle walki, podczas których Mullowie donośnym głosem oznajmują kto został zabitym; — a tłuką się tam nie nażarty, bo są nawet umyślnie do tego najęci. Nareszcie dziesiątego dnia odbywa się pogrzeb Hussejna i jego rodzeństwa. Z meczetu rozchodzą się na wszystkie strony processje, niosące już to wyzłacane katafalki, już także niby nagrobki w kształcie meczetów z minaretami, za któremi pro-

wadzą okrwawione konie, ozdobione różnemi insygnijami poległych w boju. Idący na czele processji wyśpiewują stosowne arabskie śpiewy, którym suflerują świadomi rzeczy Mullowie. W ten czas i zgromadzeni liczni widzowie przyjmują uczestnictwo w tragedji, wykrzykują ciągle *Chachsej-Wachsej*, drapiąc sobie twarze i bijąc się pięściami. Jeżeli przypadkiem dziesiątego dnia złapią jakiego kawalera z obozu zwycięzkiego Omar-Sada, tłuką go niełitościwie, — tak że pod koniec i policja wdaje się często w te dramatyczne zatargi, rozpędzając zanadto zapalczywych Hussejnitów.





#### IV.

Co tak kochany czytelniku, siadam na wóz pocztowy, dostałem urlop na miesiąc, a to tęskno i nudno wlec się tak powoli. Temczasem nasz oddział będzie sobie dalej maszerować, a my zboczymy tu i owdzie z drogi, czy nie znajdziemy czego ciekawszego.

W przeciągu kilku godzin przeleciałem Chaństwo Gandzińskie, część Chaństwa Szekijskiego, przepравиłem się przez Kur, i nocowałem już w Chaństwie Szyrwańskim. W Europie, chyba podróżując po Niemczech, może się coś podobnego zdarzyć, a w naszym sto-jęczym Kaukazie, jedziesz, zapalisz fajkę u ogniska jednego

narodu, a nim ją skończysz, już miniesz kilka krajów, i narodów.

Co za wspaniały wjazd na tę Szyrwańską dolinę! Ja tak wszędzie lubię wielkie rozmiary, że dla mnie i obszar równego miejsca ma wiele zachwycającego, skoro tylko wzrok w nim może utonąć; a cóż jeżeli miejsce tak cudnie piękne, tak olbrzymio-majestatyczne.

Szare, czarne, śniegiem opruszone góry, co z lewej strony ciągle się łsnily, zaczynają ni- knąć powoli. Cały ich łańcuch, całą tę groma- dę poważnych Tytanów, polyskujących jasnymi szyszakami, zasnuwa gazowa mgła. I z prawej strony już równe miejsce, oddalamy się od ma- lowniczych pagórków epigramatycznie rozsy- panych. Wjeżdżamy na step. Nad nami niebo jasne, błękitne, pod nami gazon najpiękniej- szych kwiatów. Różne pierwiosnki, narcyzy, tu- berozy, lilie, tulipany, ogrzewają się na słońcu i potrzęsają perlami rosy. Ciepło, cicho, głucho, tylko lekki wietrzyk uwija się po tym błysz- czącym kobiercu, zbiera hold ze stepu i wraca do nas najwytworniej uperfumowany. Jedziemy spieszuie.



— Hej woźnico, czy nie wiesz co o tym cudownym stepie Szyrwania?

— Nie, panie.

— Czy nie widziałeś tu kiedy zaczarowanych Peri?

— Nie, panie.

— Może Dżyny poważne schodzą tu z gór niekiedy?

— Nie, panie, prócz szakali nic tutaj niema. Jak tylko zimierzchnie posłyszysz ich pan ze wszystkich stron; będą ci piszczeć jak małe dzieci.

Jedziemy dalej.

— A nad czem to ci robotnicy pracują!

— Wykopują marzanę \*).

— A co to zielenieje?

— A tu zasiano ryż panie, nie wszędzie go pan zobaczysz, bo tylko tam się udaje gdzie woda przeprowadzona, — bez wody zaraz usycha i dla tego mieszkańcy wybornie tu umieją całe lany wodą napuszczać. O wi-

\*) *Rubia tinctorum* — w wielu miejscach uprawiają na Kaszkazie, — korzenie jej używane są w farbiarstwie.

dzisz pan te rowki, z nich to w razie potrzeby, wszędzie się woda rozchodzi.

— A czy niema tu blisko bawelny?

— Tam dalej zobaczymy, — za kilka tygodni będzie kwitnąć, duszno od niej i ludzie chorują.

— Jak tu głucho, a gdzież auly?

— Mało ich tutaj, ale za to wiele koczowisk, patrzaj pan na prawo, kibitki widnieją.

Otóż wszystko co powiedział woźnica; a i z moich notatek nie wiele się można dowiedzieć.

Szyrwan, nazwisko swe wyprowadza już to od miasta Szyrwania (terazniejsza Szamacha), założonego przez Króla Perskiego Nuszyrwana, na początku VI wieku, — już to od pierwszego swego panującego Księcia Szyrwana, ustanowionego tam przez tegoż Nuszyrwana.

Do Szyrwania dawniej należały trzy następne Chanstwa: Szekijskie, Bakijskie, Kubijskie, i większa część dzisiejszego Dagestanu, aż do Derbentu.

Ze wszystkich Chanstw Zakaukaskich, Szyrwan najwięcej się wslawił. Uczony Akademik



Dorn poświęca mu całe księgi \*), i gruntując się na wschodnich pisarzach, nazywa Szyrwan Szachstwem, a jego panujących Szachami. Lecz chociaż uczony Akademik, troskliwie rozdziela Szyrwańskich Szachów na dynastje, sam jednak wyznaje, że Szyrwan nie cieszył się ciągle niepodległością, lecz od ustanowienia swego, aż do upadku, to jest od VI aż do XVI wieku, przechodził przez różne niefortunne koleje. I tak z początku, ustanowieni Szachowie Szyrwania, zobowiązawszy się Nuszyrwanowi ochraniać Persję od północy, musieli ciągle wojować z Chazarami; a chociaż mogli ościenne kraiki podbijać, zawsze mniej więcej byli zależnymi od Sasanidów. Później w VII i VIII wieku, Szachowie Szyrwania już są zupełnie zależnymi od Arabów, gospodarujących tam i wprowadzających Islamizm, któren od r. 115—733, po całym Zakaukazkim kraju zaczął się rozszerzać. Kiedy władza Kalifów Bagdadu zaczęła upadać, Szyrwan nie był w stanie podolać Be-

\*) Versuch einer Geschichte der Schirvanschahs von Bernhard Dorn. — Mémoires de l'Académie Impériale des sciences de Saint-Petersbourg. Tome 4me 1841.

gratidom, którzy tam uświetnili swój oręż i sami przyjęli tytuł Królów Szyrwańskiego Szachstwa. Ledwie Szyrwan odżył i wypoczął po ciągłych wojnach, gdy w XIII wieku, dzięki hordy Mongołów, pod dowództwem Czyngis-Chana, ogniem i mieczem Szyrwan spustoszyli. Później, widzimy Szachów Szyrwania, jak niewolników idących z darami na spotkanie Tamerlana, i tylko hołdownictwem ocalających kraj swój od zniszczenia,—a później, znowu Persy tam gospodarują; lecz tytuł Szyrwańskich Szachów utrzymuje się jeszcze do końca XVI wieku.

Wyreçam się jeszcze słowami samego Dorna: „Szachowie Szyrwania, różnemi czasy rozszerzali swoje granice zdobywaniem mniejszych sąsiednich kraików. Wielką oni mieli sławę i potęgę w kaukazkich krajach, bo nietylko ich poważano jako mocarzy, ale i jako mecenasów nauk, a szczególnie poezji. Władcy Szyrwania wynosili nawet swoich poddanych na godność królów, chociaż tylko na królów poezji — i mieli swoich Augustów i swoich Cyncynatów.”

Augustem tym był Minutszer, panujący w drugiej połowie XII wieku, i zaczynający



drugą nową dynastję Szyrwańskich Szachów. Wschodni pisarze nazywają go Dzeladunjak Widdin'em (sława świata i religji). Poetami zaś zostającymi ciągle na jego dworze byli: Szeich Nizamy z Gandży, Abulala, Feleky, Chakany z Szyrwania, Sulfikar i Szalifur. Abulala Teleky i Chakany posiadali honorowy tytuł: królów poetów Szyrwania i krajów do niego należących.

Cynecynatem zaś, był Szeich Ibrahim, panujący w Szyrwaniu od roku 1382, do 1417, o którym Dorn tak się wyraża:

„Huszhenng był zapewne nie tylko ostatnim ze swojej familji, ale i z całej dynastji, bo najprzód nigdzie nie ma żadnej wzmianki o jego potomkach, a powtóre wieśniakowi od pluga oddano stér rządu. Wieśniak ten jednak aż nadto był szlachetnym, gdyż ród swój wyprowadzał od Nuszyrwana, a przodkowie jego nosili korony aż do czasów *Islamizmu*, bo dopiero wtenczas osłabła ich władza i zubożał ród. Szeich Ibrahim był jednakże wieśniakiem, również jak jego ojciec Muhamined, i cała jego familja zamieszkała w Szekińskiej wsi należącej do posiadłości Szyrwania. W każ-

dym razie, poczciwość i świetne pochodzenie Szeicha Ibrahima musiały być wszędzie głośnemi, kiedy po wygaśnięciu drugiej dynastji, obrano go Szachem Szyrwania. Wyruszono więc do niego z królewskimi zwierzętami i z wielbładami, żeby mu obiór oznajmić. Przybyli posłowie znaleźli go na polu, słodkim snem odpoczywającego w cieniu drzew, nie daleko od pluga. Uszanowanie, jakie mieli dla przyszłego swego panującego, niepozwalało im rozbudzić go, rozpięli więc nad nim pyszny namiot, a sami w oczekiwaniu odeszli na stronę. Kiedy się Szeich obudził, wtenczas pozdrowili go, złożyli, mu hołd, i odwieźli go do Szamachy gdzie został posadzonym na tronie. Szyrwańczyey nie omylili się w swoim wyborze, bo Szeich Ibrahim jak był pilnym wieśniakiem, tak i u steru rządu odznaczał się zawsze pracowitością, łagodnością i sprawiedliwością. W krótko zjednał on sobie serca wszystkich poddanych, a przez szczęśliwe zawojowania, znacznie powiększył swe Państwo. Sława jego rosła coraz bardziej, a później, nawet kiedy był wziętym w niewolę, sami nieprzyjaciele umieli go ocenić i wypuścili na wolność.



„Co wszelakoż najlepszym jest dowodem piękność, jego charakteru, to właśnie to, że się nigdy nie zaslepił swém szczęściem i sławą, i niezważając na swoją wielkość, gotów był zawsze umrzeć za swych poddanych.

„Było to w roku 1388 — 1386, kiedy potężny Tamerlan ciągnąc na Kipczaków, zbliżał się do Derbentu, należącego wtenczas do Szeicha Ibrahima. Szeich nie chcąc brać odpowiedzialności na siebie, radził się swoich poddanych jak ma postąpić w tym razie. Wtenczas poddani powiedzieli mu: Jesteśmy silni i waleczni możesz nam rozkazywać. Na co Szeich odpowiedział: Mamże na to patrzeć jak będą niewieść moje wojsko, a moich poddanych końmi traktować? — Nie, ja niechęć walki, złożę mu hołd i sam się udam do niego. Jeżeli mi dozwolą powrócić, to życzenia moje będą spełnione, jeżeli zaś zamordują mnie, wtenczas moi poddani unikną mordów, pozogi i niewoli; — to powiedziawszy rozpuścił wojsko, kazał się w meczetach modlić za Tamerlana, wybił monetę z jego imieniem, i dla złożenia hołdu sam się udał do niego.

„Według Czagatajskiego zwyczaju, dary powinny się zawsze składać z dziewięciu jakichkolwiek rzeczy. Szeich Ibrahim zachował i ten zwyczaj, ale przedstawił tylko ośmiu niewolników, a kiedy przyjmujący zapytali się gdzież jest dziewiąty niewolnik, wtenczas Szeich odpowiedział: Tym jestem ja. — To się tak podobalo tatarskiemu zwycięzcy, że go nazwał swoim synem i rządcą Szyrwanii, dał mu honorową suknię i pozwolił mu wrócić do swego Państwa.”

Od XVI wieku, potęga Szyrwanii zaczęła już zupełnie upadać, a władców jego już nazywali tylko Chanami. Szemacha jednakże była jeszcze w dość kwitnym stanie, bo Olearjus który tam podróżował w XVII wieku (1636), wspomina o niej jak o mieście wielkiem, ludnem, bardzo handlowem, i napelnionem kupcami zjeżdżającemi się tam z Azji i Europy. Dalsze dzieje Szyrwanii, również jak wszystkich Zakaukaskich Chanstw, to ciągle wojny z Turcją i Persją, szczególnie zaś z tą ostatnią, której Zakaukazcy Chanowie są prawie ciągłymi holdownikami, a tylko niekiedy korzystając z jej zaburzeń, ogłaszają się



zupełnie niepodległymi Chanami. Lecz i wten-  
czas Chanstwa prowadzą między sobą ciągle  
wojny, a Szyrwan już gra tylko rolę pod-  
rzedną.

W drugiej połowie XVIII wieku, wzmaga  
się Chan Kubijski Fet-Ali, który opanowuje  
Chanstwo Derbenckie i Szyrwańskie, lecz roz-  
szerzywszy zanadto swoje granice, Fet-Ali nie  
może sam wydołać i prosi Rossję o pomoc,  
oddając się pod jej opiekę i przyznając nad  
sobą jej władzę. Po jego śmierci, za pano-  
wania jego syna Szych-Alego, Chanstwo Szyr-  
wania znowu odzyskuje swoją niepodległość;  
lecz w roku 1805, już jest zupełnie pod wła-  
dzą Rossyi. A w roku 1820, po ucieczce Cha-  
na Szyrwania Mustafy do Persji, Szyrwan zo-  
staje prowincją Rossyi. Dzisiaj Chanstwo Szyr-  
wańskie i Chanstwo Derbenckie są Gubernia-  
mi; miastem gubernialnem pierwszej jest Szama-  
cha, a drugiej Derbent. Inne zaś Zakau-  
kazkie Chanstwa, jakoto: Gandżyńskie, Szekij-  
skie, Kubijskie, Bakijskie, stanowią powiaty,  
ze swemi powiatowemi miastami: Elizawet-  
polem, Nuchą, Kubą, Baku, i t. p.

Lecz wróćmy znowu na step, z którym się  
zaraz rozstaniemy, bo oto już z lewej strony, wi-  
dnieją góry, urwiska, wertepy, już i nad dro-  
gę wybiegają pagórki, jakby dziatki na spot-  
kanie gościa; przejeżdżamy wbród rzeczkę Ak-  
su i już jesteśmy w Nowej-Szamasze, która  
choć krótko, ale była daleko świetniejszą,  
a teraz przypomina tylko krwawy epizod z hi-  
storji Szyrwanian.

W roku 1724, w skutek traktatu zawarte-  
go między Rossją i Turcją, cały Szyrwan do-  
stał się tej ostatniej. W roku 1734, Szach-  
Nadyr wypędził Turków, zajął Szamachę i zbu-  
rzył ją do szczytu, a niedobitków przesiedlił do  
założonej przez siebie Nowej-Szamachy. Szach  
Nadyr mianował chanem Szyrwanian jednego ze  
swych dygnitarzy, Adży-Mehmeda Alego, któ-  
ry tam panował do r. 1761, w którym był  
zabitym, a Szyrwanian stolica znowu została  
przeniesioną do Starej-Szamachy. Nową-Sza-  
machę, w której nie ma nowego, nie można  
nawet nazwać miasteczkiem, bo oprócz sadów,  
kilkudziesięciu obdartych sakli i pocztowego  
domu, nie tam więcej nie widać.



Już tylko zostało mi dwie mile do Starej Szamachy, które całe pół dnia jechałem, pomimo że do mego wozu zaprzężono cztery pary bajwołów. Z takimi honorami wożą pocztę skarbową i tych tylko podróżnych, co płacą za ośm koni, z obawy żeby nie jechać trzy dni do Szamachy. Konie zaś najspokojniej zajądają siano na stajni pocztowej, i zapewne im do głowy nie przychodzi, że po wiosnie następuje gorące lato, i wtenczas słońce zupełnie dla nich drogę osusza. *Widok Szamachy*  
Z początku moje bajwoły dosyć mnie szybko wiozły, ale kiedy później wjechaliśmy w urwiska, wertepy, wyboje, a wszędzie błocko takie było ogromne ze się koła zupełnie chowały, to i ich olbrzymia siła nie tanie pomogła, i już zacząłem się obawiać, żeby nie zakończył przypadkiem mój cug z wywalanemi głowami i grzbietami. Ale nie ma nic złego, co by nie wyszło na dobre, tak i śród tej szkaradnej drogi, podnosząc się ciągle na górę, raptem oslepiony zostałem cudownym widokiem, który mi sowicie wynagrodził za nudną jazdę. Kazałem się zatrzymać, i żeby wzrokiem cały obszar ogarnąć, wdrapałem się na najbliższą górę.

Jaka cudna, jaka ogromna, odkryła się panorama! Przedemną, w całej swej wspaniałości zieleniał step, ozdobiony srebrnymi wstęgami potoków. Z prawej strony ukazywały się wzgórza, w nieładzie porozrzucane, a za nimi ciągnęły się odnogi dzikich gór przedrzeźniające się różnemi dziwnemi kształty. Z lewej strony szmaragdowy step przylegał do błękitnego morza, które się gubiło w szafirowem niebie. Słońce rzucało na ten widnokrąg dziwny koloryt skłaniając się ku zachodowi. Góry ciemniały, zarysowywały się coraz mocniej, nabierały coś tajemniczego. Nigdzie nie widać ani krzaczku, ani drzewa, co tak upiększają pejzaże, a jednak był to cudnie urozmaicony, cudnie wielki obraz. Był to łysy, ale poważny i pełen natchnienia olbrzym-poeta, co się zapatrzył w jasne, niezmierzone niebiosy. Długo, długo nie mogłem się oderwać od tego widoku.

Jeszcze dwie godziny fatalnej jazdy i już jestem w Szamasze \*). Wjeżdżałem o samej

\*) Nim się czytelnik poznał z terazniejszą Szamachą, zacytuje tutaj to, co o niej napisał Hamdullah-Kaswiny, arabski geograf z początku XIV wieku po Chr. Ciokawy i in-



ósmej godzinie, ale w mieście bardzo było ciemno. W Azji, już to zwyczaj zakorzeniony, że wszystkie domy stoją poobracane tyłami do ulic, dla tego też nie widziałem żadnego okna, z którego światło mogłoby błysnąć. A że i ulice ani trochę nie oświetlone, w najokropniejszej więc ciemności dażyłem moim paradnym eugiem do jednego karawanseraju, utrzymywanego przez jakiegoś Ormianina.

Wyjechawszy w głąb miasta, w jednym zaułku musiałem się zatrzymać, raptem bowiem byłem wstrzymany przez defilującą kawalkadę kilku dam tatarskich, osłoniętych różno-kolorowymi zasłonami i siedzących po męzku na pięknych koniach. Przed nimi i za nimi;

interesujący jest wyjątek którego tu według niemieckiego tłumaczenia dosłownie załączam, bo w tym duchu napisana cała geografia Kaswiny. W tym duchu traktuje się jeszcze i teraz geografia i historia, na prawowiernym Wschodzie: „Szamacha jest stolicą Szyrwania i należy do piątego klimatu. Jej długość od wysp Szczęśliwych wynosi 84, 38, a szerokość od równika 46, 59. Założył ją Anuszyrwan Sprawiedliwy. Jej powietrze zbliża się do gorącego, i lepsze jest niż w innych miejscach. Mesalik-el-Memalik powiada, że tam się miały znajdować źródła życia i kamień Mejsza. Inne księgi powiadają, że Szamacha tam położona, gdzie się łączą dwa morza.” *Geografia Caucasia, von Dr. Bernh. Dorn, 1847. St. Petersburg.*

kilku nukierów z czerwawemi pochodniami, jasno oświetlali tę grupę, godną pędzla flamandzkiej szkoły.

Jechałem zółwim krokiem, miałem dość czasu im się przypatrzeć, ale cóż! twarzy niestety nie widziałem; bo oprócz tych materialnych zasłon (już nie wiem dla czego), miały jeszcze maski ze złoconego drutu. Tak mię zachwycała ta tajemniczość, że mimowoli powiedziałem po tatarsku do jednej z przejeżdżających Chanym: na proroka zaklinam cię, odsłoń twarz twoją. Chanym ani się oglądnęła, usłyszałem tylko leciutki śmiech. Nie spuszczałem ich z oczu, i w krętym zaułku zniknęły mi najprzód powiewające tajemnicze zasłony, później wykazujące się czerwone, złotem obszywane tumany, później malutkie nóżki w safianowych papuciach, później końskie ogony, i znowu była noc ciemna. W jednej tylko części miasta rozlegała się luna czerwona, ku niej to właśnie i kawalkada dażyła.

Przyjechawszy do karawanseraju, pierwszą moją myślą było wejść na obszerny teras, i tam dopiero mogłem się przekonać, że w oddalonej części miasta, dzieje się coś niezwyčajne-



go; bo ogromny dom z dziedzińcem i cały zaułek, oświetlony był pochodniami a snuło się tam mnóstwo ludzi. Gospodarz mój wyjaśnił mi całą rzecz, najbogatszy *Beg* \*) w Szamasze, już trzeci dzień obchodził powrót swego ojca z pielgrzymki do Mekki. Namówilem mego Ormianina, żeby mi towarzyszył w charakterze tłumacza i nie tracąc czasu, poszliśmy przypatrzeć się tej uroczystości.

O artyści ze szkoły Rembrandta, Van-Dyka Wuwermana, dla czegoż żaden z was nie zwiędził dotąd Szamachy, może nawet nie słyszeliście nigdy o tém Indostanie dla palety i pędzla. Zbieracie tam w waszej monotonnej Europie pojedyncze wzorki, a tutaj macie całe miasto *de genre*. Nie traćcie czasu, spieszcie bo was uprzedzą japońscy i chińscy malarze.

Na ciemnym tle nocy oświetlonym pochodniami (jaka gratka dla malarza), ileż tu grup ukazuje się w różnych postawach, w najświetniejszym światło-cieniu. Prawdziwie, to cała galerja charakterystycznych, żywych obrazów.

\*) *Beg*, szlachcic, obywatel. *szlachcic* to mianem się przekonał, że w odwołaniu do siebie użył słowa *szlachcic*.

W zaułkach, na dziedzińcu, na terasach wielkich domów, wszędzie grupy i pochodnie.

Alboż nie malowniczy ten wielki teras usłany dywanami, na których zasiedli wyznawcy Proroka. Patrzcie, jak poważni, jak zamysleni. Jaka rozmaitość brod: są tam czarne, czerwone, pomarańczowe żółte i białe, słowem cała tęcza najzupelniejsza. Z rak do rak przechodzą kabiany, roznoszą sorbety, — uwaga wszystkich tych gości w jedną stronę zwrócona. Przed nimi wystąpiły do boju dwa ogromne barany, z rogami przybranymi w różno-kolorowe wstążki, frendzle i kutasy. Cała grupa z wielką niecierpliwością oczekuje końca tej baranomachii, na wielu twarzach jasnieje radość — zachwycenie. Na drugim tuż obok terasie, kogutomachia przyciąga wielu widzów do siebie. Niecierpliwe chłopcy, którzy chcieliby wszystko razem widzieć, przeskakują ciągle z jednego terasu na drugi. Ze wszystkich stron, krzyk, hałas i klaskanie w dłonie zagłuszają zupełnie.

Ale wejdźmy na dziedzińiec, skąd daje się słyszeć nielitościwa, szarpiąca uszy — muzyka. Najwięcej widzów zwabili do siebie, młodzi, zreżeczni i przystojni *Pehlucany* (pajace), którzy



w jaskrawych szpencerach z obnażonemi, wymalowanemi ramionami, kręcąc się, trzpiocąc i zadziwiają wszystkich gimnastyką i sztukami. Koło nich coraz się więcej zbiera poważnych brodaczy, nie wierzących swym oczom i wykrzykujących co chwila: „*bu Szajtan*” (to djabeł), to znowu w liczbie mnogiej: „*bu Szajtanlary* (to djabły).

Na stronie odbywa się *kurban* (ofiara). Błyśnięły noże i padło kilka baranów, krwią zbrzyżanych. Stary gospodarz poważny Chadży w białym zawoju \*), sam był przy tem przytomny i według przyjętego zwyczaju, kazał swą ofiarę rozdzielić na trzy części, — dla Mullów, dla biednych i dla gości.

Ciągły ruch — wrzawa! Nie widać tylko dam, już to zwyczaj taki, że nie mogą być razem z mężczyznami; ale zato wszystkie one najbliżej słuchają piskliwej muzyki, i do upadłego tańczą w salonie.

W żaden sposób nie można było je zobaczyć. Zapewne pomyślicie że i od dziedzińca nie ma okien.

\*) Tytuł Chadży i biały zawój, posiadają ci tylko mahometanie, którzy odbyli pielgrzymkę do Mekki.

Owszem, jest ich aż nadto, bo w tej prawdziwej oranżerii cała ściana składa się z ram szklanych. Ale cóż, wszystkie te szyby są różno-kolorowe, więc podchodząc jak najbliżej, nie dostrzedz nie można. Ślizgał się więc daremnie mój wzrok po tych szklących tajemniczych szkiełkach, i rad nie rad musiałem od nich odejść.

Tam gdzie zarzynano barany, odbywa się teraz inna scena. Rogacze jak prawdziwe ofiary leżą, najwyhorniej rozciągnięte, koło nich żwawo rozprawiają Mullowie, ubodzy i kuchciki. Tą razą sześć tylko baranów zarznięto, zdaje się najłatwiejby się podzielić, ależ są między niemi tłuste i chude. Każda z trzech partyj, opiera się, krzyczy, używa różnych sofizmatów i stara się dowieść że do niej należą najtłustsze. W tém znowu do nich podszedł stary gospodarz, zadarł swą bródkę, przemówił, pokiwał rękoma, i nowy Salomon wszystko do porządku przyprowadził. Kuchciki niosą na kuchnię swoje barany. Ubodzy swoje wynoszą na ulicę; a przezorni Mullowie przyprowadzili z sobą osiołka, i podkasawszy szerokie poły, pakuja nań swoich rogaczy. Biedny osiołek



ten najcierpliwszy i najwytrwalszy stoik, musiał uciec niepośledni ciężar, bo piskliwie zaczął wizzec, bryknął raz, drugi i trzeci, i barany które już były na jego grzbiecie, znowu leżą na ziemi. Mullowie w wielkim ambarasie, osioł znowu się rozbrykał i w dodatku zrzucił z siebie juczne siodelko.

Pocieszny dyalog odbywa się u bramy. Stuletni, siwiutki, zgarbiony Musztegid Szyrwania \*), przechodził przez ulicę, i był zatrzymany przez krewnych wyprawiających ucztę, w krótkce tam nadszedł syn nowego Chadzego. Wszyscy poważnego starca zapraszają, ciągną do domu. Przysłuchajmy się rozmowie, którą przy pomocy tłumacza, najdokładniej mogłem zrozumieć:

**Syn nowego Chadzego.** Przezacny Musztegidzie, do szczęścia okrągłego, do świetności dnia dzisiejszego, niedostaje nam tylko najjaśniejszego świecznika Szyrwania, niedostaje nam twojej pierwszorzędnej i prawowiernej osoby.

\*) Musztegid, starsza duchowna osoba u Szytów, Mufty u Sunnitów.

**Musztegid.** Dla chwały Allaha, ja unikam takiej uczt; i nie życzę sobie być tutaj żadną osobą.

**Syn nowego Chadzego.** — Ależ, ależ, dla czego?

**Krewni Chadzego.** — Co to jest? Co to jest?

**Musztegid.** — (Prostując się i podnosząc ramiona.) Przeklęty taki Chadży, przeklęta jego rodzina, i przeklęci ci wszyscy co w ten sposób obchodzą powrót mniemanego Chadzego.

**Jeden z krewnych.** — (Podając buteleczkę i przykładając rękę do serca.) Oto jest woda z krynicy Zemzemu, przyjmij ją od nowego Chadzego.

**Musztegid.** — (Coraz z większym zapalem.) Nie chcę ja wody, bo to woda nie święta. Nie przestąpię waszego progu, bo tam Chadży fałszywy. Alboż my nie wiemy, jak on odbył pielgrzymkę? — A czy był na Arafacie? Choć był w Mekce, Chadżym dla tego jeszcze nie jest. Przeklinam go, i przeklinam tych wszystkich, co go Chadżym nazywają. Albo spojrzycie koło siebie, — jakżeż to wy obchodzicie jego powrót? Czy to tak dawniej bywało? Chwieje się wiara ojców naszych — narzekamy. A któż tu winien, jeżeli nie my sami. Oglądajcie się



bo godziny wasze policzone. Bezbożne miasto wstrząśnie znówu palec Alfaha, a wtedy już się nikt nieocali. Wtedy znikną nawet groby ojców naszych,—a życie wasze zgasnie jak ta światła pochodnia. To mówiąc wyrwał pochodnię u bliżej stojącego, zdeptał ją nogami i zostawiłszy wszystkich w głębokiem zamysleniu, zniknął w ulicy.

Dosyć późno wróciliśmy do azjatyckiego karawanseraju, w którym nad moje spodziewanie, nie tylko się znalazły pokoje z meblami, ale była nawet gotowa europejska kolacja.

Nazajutrz zrana ledwie ósma dochodziła, spałem jeszcze najwyborniej, gdy się do mego pokoju powmykały Bajaderki. Pół we śnie, pół na jawie, przyglądałem się tym Szyrwan-skim Sylfidom i nie wierzyłem sam sobie, nareszcie zacząłem liczyć wiele ich było. Naliczywszy pięć, i pięć tamburynów,—przetarłem oczy.

W tym momencie, na kurytarzu zagrzmiała skrzypliwa muzyka i wschodnie Sylfidy w rozmaitych pozach wystąpiły do baletu. Ów balet była to niesmaczna parodja czarującej Lez-

ginki \*),—lub jeszcze właściwiej, możnaby go nazwać Lezginką *à la cancan*. Najprzystojniejsza z pięciu tańcząc podała mi już zapalony *kaljan*. I tak, rad nie rad, całej tej improwizowanej scenie, przyjąłem *kaljan* i puszczał się rzesisty dym przypatrywałem się ciekawie, jakby jaki turecki basza.

Ileż to materyi, ile farb wyekspensowały szyrwanские sklepy, żeby wystroić pięć wschodnich elegantek. Wprawdzie jedna z nich nie pomalowała sobie twarzy, musiała być aż nadto przekonana, że jest piękną. I w rzeczy samej, tak klasycznych rysów twarzy nigdy mi się nie zdarzało widzieć. Długo się jej przypatrywałem, zachwycali mnie śliczne hebanowe włosy—dziwny koloryt twarzy—dziwniejsza białość i delikatność ciała—i najdziwniejsze i najcudniejsze równiutkie zębki które za każdym uśmiechem oświecały ten azjatycki idealik. Ale za to cztery inne, ach, jakie szpetne, jakie posmarowane; była to jakaś żyjąca mozaika, prawdziwe modele do chińskich, herbacianych pudełek. Oprócz wymalowanych

\*) Lezginka, solowy taniec, bardzo lubiony na Kaukazie.



rak, brwi i rzęsów, policzki ich były nalepione blanszem i różem, na których w dodatku ostro jeszcze pstrzyły się jakieś wymalowane, fantastyczne, niebieskie punkciki. Trzeba oddać sprawiedliwość, że figurki ich ładnie się zarysowywały z pod zgrabnego kroju sukien, zupełnie różniącego się od Szyrwańskiego, a właściwego tylko Bajaderkom Indji Wschodnich. Bo teżto z Indyi ich prababki przywędrowały aż tam zasłyszawszy o bogactwie dawnej Szamachy. I rzecz widoczna, że nieźle musiały wyjść na swoim przesiedleniu się, bo na dzisiejszych Bajaderkach błyszczą ogromne łańcuchy różnych złotych monet i medali wschodnich, które wraz z rzemiosłem tancerek, córki po matkach ciągle odziedziczały.

Oprócz tego numizmatycznego gabinetu rozwieszono na ich piersiach, miały jeszcze i inne drogie ozdoby, które też ciągle im się w spadku dostawały; były to złote potrzeby, które ze złotymi baryłkami ładnie się odbijały od ich różno-kolorowych kolecików. I tak zacząwszy od wschodniego obuwia, bramowanych tumanów, aż po same uszy, wszędzie złoto i złoto jaśniało. Głowy tylko były bez żadnych ozdób,

i powiewały niezliczonymi sploty najpiękniejszych czarnych włosów.

Gdy się już płasy skończyły, najpiękniejsza znowu do mnie podeszła z pokorną minką i z wywróconym tamburynem, — rzuciłem dukata i pożegnałem Syldify. Zaledwie drzwi za sobą zamknęły, aż oto znowu najpiękniejsza wraca do mnie z bukietem kwiatów. Muszę się przyznać, że miałem wielką chętkę pocałować ten estetyczny exemplarzyk wschodniej piękności, ale po chwili namysłu, odegrałem rolę Józefa z Putyfarą — i udając że śpię, odwróciłem się do ściany.

Z rana, między dziewiątą i jedenastą, miasto najwięcej było ożywione. Zawsze więc o tej porze wychodziłem i zbierałem różne wzorki. Żalowałem bardzo, że okolice Szamachy nie miały w sobie nic powabnego; bezbarwne, bezlesne, wyglądały tak szaro jak kamienna stolica Szyrwania. Tuż za miastem, jeden tylko pagórek więcej zieleniał, ale i ten był posępny, bo był siedliskiem cmentarza. Pomiedzy różnymi nagrobkami, wznosiły się tam dwa małe meczeciki, zawsze otwarte,



wewnątrz których są grobowe kamienie wielu krewnych ostatniego Chana Szyrwania.

Z tego cmentarza dobrze widać całe miasto, które po trzęsieniu ziemi w roku 1828, już się zupełnie odbudowało; chociaż i teraz wygrzebują z pod ziemi całutkie kamienne domy, rozbierają je, i przestawiają na inne miejsca. Z dzisiejszego, chociaż dość obszernego miasta, nie można mieć pojęcia o tej dawnej kwitnącej i handlowej Szamasze.

Jeden tylko wielki meczet wznosi swą kopułę po nad miastem. Dwie główne, bardzo szerokie ulice, przecinające się na krzyż, stanowią bazar, i leżą po środku, równoległe do nich ciągną się daleko węższe ulice, do których ze wszelkich stron przylegają ciasne, brudne, wijące się w różne gzygzaki, prawdziwe azjatyckie uliczki. W stronie południowej, rozsypanej na wzgórzach, bryluje kilka europejskich domów. Domy te są nadto pospolite, ale że są opatrzone dachami, stoją na wzniosłym miejscu, przedstawiają się w sposób imponujący. Przypatrzwszy się im z bliska, łatwo dostrzedz że to złudzenie tylko, złudzenie niestety tak często zdarzające się na naszym biednym świecie!

A bazar jaki oryginalny! Przejszć przezeń nie można, jacyś wschodni lazaroni; siedzą tam lub leżą, a ileżto kupujących, ile włóczących się bez celu, — jaki zgiefk, jaka wrzawa. Z jednej i z drugiej strony same sklepy. Wszystkie sprawy, wszystkie interesa odprawiają się publicznie — prawie na ulicy. Tu krawiec w swoim sklepie, rozwiesił różne czuchy, różne archałuchy i skurczywszy nogi pod siebie, pracuje wraz z czeladnikami. Tuż obok, cyrulicy gołą głowy krzywiających się pacjentów. W sklepiku zawieszonym bronią na sprzedaż, oprawiają szaszki i chandzary. Tam dalej na cynowych półmiskach kebaby i rozmaite pilawy \*), przywołują do siebie brodatych i niebrodatych żarłoków. Na drugiej stronie, cyklopi coś kuja nielitościwie. Koło nich szewcy, powywieszali girlandy z różno-kolorowych papuci i trzewików, obok których wiszą i półbuciki na korkach i buciki, to z ogonkami, to znowu jakby z dziobami jakichś zamorskich ptaków. Tam zwijają

\*) *Kebabami*, nazywają różne azjatyckie pieczywo, a *pilaw*, to ryżowa kasza z barażiną i rodzynkami.



jedwab, tu obok pieką lawasze \*). Tu mierzają mowi i kanaus \*\*); a tam uczą i biją po piętach dzieci. Pełno wszystkiego na tylnym wschodnim bazarze, z którego punktu nasz spojrzysz zawsze jak w kalejdoskopie—ciągła gra kolorów, ciągła różnorodność.

Usunąłem się od ciżby, stałem opodal, ale i tu jakiś Tatarzyn pakuje mi do ręki coś skurzanego i bardzo mokrego. Nie mogłem się domysleć co by to znaczyło, ale spostrzegłszy że ma burdiuk pod pachą, i pomimo to że był dosyć bogato ubrany, boso na bazar wystąpił, poznałem w nim Sakka \*\*\*). Zdziwiła mnie tylko ta tolerancja, gdyż według przyjętego zwyczaju, *giaur* nie może z prawowiernym ani jeść ani pić z jednego naczynia. Nie mogłem mu odmówić, a chociaż ani trochę nie miałem pragnienia, wychyliłem skurzany kubek i powiedziałem *sahol* (dziękuję).

\*) *Zawasz*, jest to miękkie, cienkie, świeżo-spieczone ciasto, tak wielkie jak serwetka i nie raz zastępujące jej miejsce; jeżeli przy jedzeniu zanadto się broda zawala.

\*\*\*) Tak nazywają jedwabne materje robione w Szamaksze.

\*\*\*) *Sakka*, jest to pobożna osoba, która robi sobie wotum chodzić jakiś czas boso, i pić wszystkich zimną wodą.

Zobaczywszy drugiego Sakka, którego też ciągnął ku mnie, poszedłem dalej ku końcowi ulicy i oglądałem tam karawanseraje zawałone różnymi towarami i miejscowymi wyrobami. Materja nazwana *nowi* bardzo jest ładna; znawcy utrzymują, że w niczem nie ustępuje lekkim francuzkim materjom. Z innych miejscowych wyrobów, zwracają uwagę *termolama*, *kanaus* i letnie ledziutki jedwabne koldry. Widziałem tam także mnóstwo dywanów miejscowej fabryki, ale te zupełnie popsuły swą sprawę. Dawniej robiono je w gąsście wschodniej i te nie źle się udawały, teraz rzucono się do deseni europejskich, i często zdarza się widzieć pół-lokciowe zielone róże, pomiędzy ogromnymi, czerwonymi liśćmi. Ale za to sklepy napelnione są prawdziwymi perskimi dywanami, z którymi i najwyborniejsze europejskie porównać się nie mogą.

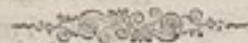
Przechodzę znowu przez bazar i oto lazaroni, co przedtem wszędzie byli rozsypani i poizuwając spoglądali na jasne niebo, skupili się teraz i znaleźli sobie rozrywkę. Ale nie tylko oni. Cisną się tam i porządnie ubrani, nie jeden też odbiegł od pracy i w roztargnieniu z narzędziem swego rzemiosła, przysiadł, skurczył nogi pod



siebie i nadstawił ucho. Pośród tego licznego koła najciekawszych słuchaczy, na rozesłanym dywaniku, siedzi perski *derwisz* i prawi różne powiastki z Szecherezady. Publiczność się śmieje — mocno jest zadowolniona. Derwisz ciągle wstaje, przechadza się, siada, ale oto znowu się zerwał i wśród najruchliwszej mimiki zakończył powiastkę. Zdejmuje swą barankową, spiczastą czapkę, ociera nią pot z czoła i trzyma z niechęcią przed sobą. Do czarnej czapki leżą *szauiry* i *abazy*, ale publiczność nie opuszcza miejsca i prosi o nową powiastkę. Derwisz z białej swej czuchy wyjął małą książeczkę, przejrzał ją, odpoczął, prosi publiczności jeszcze o chwilę cierpliwości, i zapowiada że będzie recytować z pamięci romans *Abu-Zeida*.

W tym antrakcie, przypominają sobie niecierpliwi słuchacze że derwisz jest prawdziwą żyjącą gazetą; — strzelają więc do niego ze wszech stron różnemi pytaniami. Gdzie Szach teraz? Co robi? Czy nie słyhać o wojnie? i t. d. Derwisz może już od roku z Persji wyruszył, ale to nic nie znaczy, odpowiada na wszystko śmiało, stanowczo, tak właśnie, jak gdyby wczoraj w Teheranie nocował. A gdzie spo-

tkaleś naszą karawanę? — zawołał ktoś z'bo-ku, tu Derwisz udal że nie słyszy i zaczął głośno deklamować. Mówi poważnie, to znowu wśród najróżnorodniejszej mimiki, udaje już to tęzkę, już kobiece glosy; tak że w tym udramatyzowanym romansie, głos i giesta każdej osoby najdobitniej są odcieniowane. Słuchacze w coraz to większem zachwyceniu, żaden się nie poruszy, tak wszyscy zawiesili uszy na gwoździu uwagi. Derwisz to zauważył, i uradowany z uczynionego wrażenia, raptem przestał na najciekawszem miejscu, — składa swój dywanik, bierze go pod pachę i wymyka się z koła. Przewrotny mędrzec, wie dobrze że jutro na toż-samo miejsce przyjdą znowu zainteresowani słuchacze, i znowu *szauiry* i *abazy* polecą do czapki. I nie dziwnego, albow nie tak postępują i dziennikarze Frengistanu? Wszak romanse w ich felietonach zawsze się ucinają na najciekawszej scenie. Ale perski derwisz przyjdzie na swoje miejsce i zadowolni słuchaczy, a pan dziennikarz nieraz swój romans bez zakończenia zostawia, (przepraszam).





Na drodze z Szamachy do Baku, zwracają na siebie uwagę dwa ormiańskie klasztory, leżące na górze w bardzo malowniczym miejscu.

W zakaukazkim kraju, mnóstwo jest Ormian. Jedni z nich mieszkają po wsiach i trudnią się rolnictwem, inni po miastach handlują. Ormianie trzymają się swej wiary; lecz co się tyczy zwyczajów i obyczajów, przejmują je zawsze od kraju w którym mieszkają. Do nich zupełnie daje się zastosować to, co Bajron powiedział o terazniejszych Grekach — ze starymi towary rozwożą nowe oszukaństwa.

Po szyrwańskim stepie, droga do Baku wydaje się bardzo ożywioną. Tu i owdzie, na dro-

dze i w stronie, widać wsie porozrzucane. Tam sterczą szczątki perskiego karawanseraju. — Tu znowu stary karawanseraj, obwiedziony murem, wyreperowany, wybielony, mieści w sobie pocztę i służy za przytułek dla wszystkich wędrowców. Z przodu i z tyłu ciągną karawany obciążonych wielbłądów, jedne już wracają, drugie dopiero dążą do Baku, która jest najhandlowniejszym miastem za Kaukazem.

Bakijska Prowincja jest najbogatszą ze wszystkich rossyjskich posiadłości, między Czarnym i Kaspijskim morzem. Sól, nafta, kir, szafran i marzana, przynoszą jej wielkie dochody. Patrząc na jej piaszczyste grunta, nie jeden zaściankowy agronom pomyślałby że to nędzota, że tam się i owies nie uda. Jednakże dzieje się zupełnie inaczej. Sól, obficie się wydobywa w kilku jeziorach. Nafty (oleum petrae), źródła znajdują się wszędzie, już bliżej, już dalej od morza, a nawet w samym morzu, o kilkadziesiąt sądni od brzegu się trafiają. Nafta bywa biała i czarna, i pierwsza daleko się drożej popłaca. Gdzie tylko odkryją jej źródła, natychmiast rozkopują, ocembrowują zajete miejsce i wyprowadzają kamienne krynice. Są ta-



kie krynice, które w przeciągu doby wydają jej po kilkanaście pudów. Nafta przydatną jest do wielu rzeczy, a szczególnie do oświetlenia i z tego powodu bardzo jest w Persji poszukiwana. Kir zaś (jest ziemia, naftą przesiąknięta), służy na opał, i oprócz tego używają go do wymazywania wierzchu domów. Nie tylko Tyflisu, ale nawet i miast perskich bogatsi mieszkańcy sprowadzają kir z Baku. Terasy domów, usypane samą ziemią nie zabezpieczają od deszczu, i kto nie chce mieć ulewy we własnym domu, ten musi w kir się zaopatrzyć. Jednakowoż nie dosyć jeszcze uwagi zwracają na kir, pamiętam raz w Tyflisie podczas ulewnego deszczu, zdarzyło mi się siedzieć w jednym bawialnym pokoju, pod parasolem uprzejmego gospodarza.

Szafran Bakijski, nie ustępuje ani włoskiemu, ani indyjskiemu, wybornie się udaje na piaszczystym gruncie, i również jak marzana, bardzo obficie i troskliwie jest pielęgnowanym. Wszystkie pomienione produkta są wywozowe.

Baku prowadzi handel z Persją, i Astrachanem; port uważany jest za najlepszy na zachodnim brzegu, chociaż i w nim panują ciągle wiatry. Mieszkańcy mają do siedmdziesięciu

własnych statków, a rząd flotyllę i statki parowe, które ciągle krążą wzdłuż i wszerz Kaspijskiego morza.

Dojeżdżając do Baku, natrafiałem na coraz szpetniejsze miejsca, już nawet o nich nie można ze starym autorem powiedzieć:

Za łaskiem piasek,  
A za piaskiem znowu las.

Bo jeden tylko był piasek i piasek. Ale otóż i morze \*). Według przyjętego zwyczaju, powinienem się koniecznie zachwycać i nastawić wiele wykrzykników. Niestety! nie mogę tego uczynić. Kaspijskie wody, wcale mi się nie podobały. Może do tego przyczynił się dzień mglisty, pochmurny, — może draperje z piasku, które im elegancji nie dodają, — może wyspa, która obszar wód zasłania, — może je sobie le-

\*) Kaspijskie morze każdem z starożytnych Geografów inaczej nazywał. Terazniejsze jego nazwisko pochodzi od Kaspiów, narodu dziś zupełnie zaginionego, a niegdyś tyjącego na jego wschodniem wybrzeżu. O tym narodzie wspominają: Herodot, Strabon, Pomponiusz Meli, i Mojżesz z Chorenem. Persowie nazywali Kaspijskie morze, morzem Chazarakiem, pod tém nazwiskiem znane jest ono i dziś mieszkańcom Zakaukaskim, i to jest jedynym śladem Chazarackiej władzy niegdyś kwitnącej w tym kraju.



piej wyobrażałem. Nareszcie może i to że byłem w złym humorze.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tutaj o pierwotnym założeniu Baku; zacytuje więc podanie na miejscu zdobyte.

Baku, od niepamiętnych czasów założoną została przez jakiegoś Chunzara, którego miał za żonę Ziummuriadę. Przy założeniu miasta, rozumie się Chunzar pomyślił najprzód o swojej osobie i wybudował sobie przepyszny pałac. Długo w nim mieszkał, aż jedną razą wymknęła mu się Ziummuriada i ogłosiła się boginią. Rzecz jasna, że bogini nie chciała mieć żadnych stosunków ze śmiertelnym, wybudowała więc sobie wieżę, w której zawsze samotnie mieszkała. Wieżę Ziummuriady można i dzisiaj nad samym morzem zobaczyć. Ale dawniej wieża nie stała nad morzem. Podanie mówi dalej bardzo logicznie. Wieża nie ma nóg, nie przemieniła więc miejsca i stoi tam gdzie ją wybudowano, ale o morzu wprzód i słyhać nie było. Dawne to czasy. Jeden błędny kawaler, nazwiskiem Aleksander Macedoński, przewróciwszy pół świata do góry nogami, przyszedł stworzył Kaspjskie morze i zatopił Baku, która się wte-

dy nazywała Chunzarem. Baku trochę się później odbudowała, ale większa jej połowa i teraz leży pod morzem.

Jeżeli kto nie wierzy podaniu, to może się na miejscu przekonać; bo i teraz z pod wody, o kilkadziesiąt sążni od lądu wystają karawanseraje i wieże.

Nim się udamy do miasta, rzućmy okiem na przedmieście, które się na wstępie przedstawia.

Najprzód widzimy ziemlanki, później tu i owdzie bez szyku i porządku rozsypane małe domki ciemno-szare, dziwnie-zabawne; Każden z tych domków, tak jakos rozstąpił się i tak przysiadł do ziemi, jakby się czego obawiał. Jeżeli się gdzie drzwi, lub przypadkiem okno dostrzeże, to nie inne jak z białą, na kilka cali szeroką obwódką. Na wierzchu każdego takiego domku, uplacowała się niezgrabna, białym także kolorem wymazana bania, która mimo swą nieodpowiednią wielkość, służy tylko za komin, i nic więcej.

Pominąwszy wiele takich ciemno-biało-szarych chałupek, podjeżdżamy do fortecy, opasanej dosyć niskim, ale podwójnym i starannie



utrzymanym murem. Przejeżdżamy przez most zwodzony i już jesteśmy w mieście.

Znowu także domy, tylko że większego rozmiaru. O ulice tu nie pytać: ciasno, gęsto, każdy sobie dom stawil gdzie mu się podobało. Pośród tego architektonicznego chaosu, wznoszą się jakby jakieś wyższe myśli, dwa minarety i nadmorska wieża. Widać że te trzy budynki musiały jednocześnie powstać, bo są zupełnie jednakowego stylu. Zarzucie im można, że nie dość są wysokie, i że się zastosowały do domów i również przysadzisto wyglądają. Jednakowoż oko z przyjemnością na nich spoczywa; już to z powodu, że budowa ich starannie wykonana, już dla tego że pociemniały od czasu i prawie czarno wyglądają, co im wiele powagi dodaje.

W północno-zachodniej części miasta, wznoszą się na wzgórzu wspaniałe ruiny. Nazajutrz poszedłem je oglądać i odtąd byłoto ulubione miejsce mojej przechadzki. Bawiłem w Baku cały tydzień i co dzień je zwiedzałem.

Widziałem wiele ruin na Kaukazie, ale nigdy nie zdarzało mi się widzieć tak pięknych. Są to prawdziwe Szachskie ruiny. Jakoż w rzeczy sa-

mej, za rządów perskich Abas Wielki często w Baku przebywał, i wtedy wybudował sobie pałace i meczety. Nie tyle je zniszczył czas, ile ręka mahometan; codziem widziałem tych barbarzyńców pustoszyceili, aż żal było patrzeć, jak młotami i toporami odrywali olbrzymie płyty najpiękniejszych, ciosanych kamieni. Na cóż? Oto żeby sobie zbudować, najobrzydliwsze, najszkaradniejsze domiska.

Widać że niszczycciele najprzód zaczęli od opasującego muru, którego już teraz prawie nie ma śladu; ocalała tylko jedna brama, dziwnie pięknej roboty, na którą nigdy dosyć nie można się napatrzeć. Brama ta, jest to prawdziwy epigramat, żywa skarga na topory i młoty. Sterczy ona sobie samotna, ale i teraz jeszcze jak piękna, jak wspaniała! Na tym słicznym ciemnym kamieniu, ileż to czasu musiało dluto pracować, żeby tak misternie wykończyć, tyle ozdób, tyle deseni.

Sam pałac, lub właściwiej zamek, wewnątrz zupełnie spustoszony. Są to prawdziwe rudery. Jednak na niektóre ulomki z wielką się przyjemnością spogląda. Tam pyszna sztukaterja zachwyca, tu znowu krużganek, — dalej zewnątrz



zamku zadziwia galerja w pół-okrąg, przeznaczona dla ulubionych Szachskich koni. Jaki w niej przepych formy, rzeźb i wykończenia. Gustowna ciemno-kamienna galerja i dla rumaka, najlepszej krwi, zanadto jest piękną. Z tyłu zamku; na odrębnym dziedzińcu, opasanym murem, wznoszą się inne Szachskie budynki, jakoteż meczet, łaźnie, haremy i t. d. Wszystkie one lepiej są utrzymane, bo rząd je zajął pod arsenał i różne składy. Nie mogłem ich oglądać, bo ciągle były zamknięte.

Wróciłem znowu do zamku, żeby wleść na teras. Odszukałem schody, pod któremi dostrzegłem Mahometanina leżącego i pociągającego dymek z króciutkiej fajeczki. Koło niego porozrzucane były różne sprzęty, z których można było wnosić że to była jego rezydencja i że ciągle w niej przebywał. Mahometanin dość był obdarty, jedwabne strzępki i lachmany ledwie go okrywały,—twarz miał dziwnie posępną. Aha — pomyślałem, niezawodnie musi to być Król zamczyska, wschodni Machnicki, co polubił przeszłość i żyje przeszłością. A wszakże w tym zamku cała przeszłość Bakijskiego Chanstwa, tu Szach przebywał, tu później mie-

szkali Chanowie; tu był dywan, gdzie się najważniejsze sprawy roztrząsały. Wdałem się z Mahometaninem w rozmowę, — po długich umówieniach udało mi się go zrozumieć i całą illuzją straciłem. Nie był to Król Zamczyska, ale prosty lazaroni, któren nieraz gdy mu chleba zabraknie, zaprzęga się do pracy i sam odwala zamkowe kamienie.

Z terasu całe miasto przedstawia się jak na dłoni. Dobrze rozpatrzywszy się można było widzieć nie tylko meczety, ale i cerkiew, i ormiański kościółek. Wszystkie te świątynie nie wystrzeliły kopułami i dziwnie przysiadły do ziemi.

Na wzburzonym morzu, widać było mnóstwo statków, stojących na kotwicach i rzucających się na wszystkie strony. A morze jakie cudowne, rozpienione, rozbałwanione; już dziś zupełnie co innego. To lew, co strzaskał żelazne kraty, uczuł swą godność, ryczy i błyszczy ognistemi oczyma, najeżył swą grzywę i jakby gotów pastwić się nad miastem.

Dzień w dzień ciągle wiatr panował i tak, niedoczekawszy się zupełnej ciszy, wyszedłem żeby się puścić ku zatopionemu miastu. Tyle



razy przechodziłem wzdłuż i wszerz przez bazar, a jeszcze o nim nie wspominał. Z resztą nie zasługuje on na uwagę. Szamachijskich typów ani sposób na nim znaleźć. Któż tu wyjdzie na bazar—kiedy żwir i piasek ciągle oczy zaprusza,—kiedy i do obok stojącego trzeba krzyknąć na całe gardło, gdyż inaczej wcale cię nie posłysz. Jeżeli się kto wymknie z domu to chyba do karawanseraju, a gdzie sami kupcy, tam już mało życia.

Nie raz przechodząc przez te długie budynki zanotowałem sobie kilka fizjognomij, które zawsze na témże samém miejscu i w takiejże postawie zastawałem. Byli to bogatsi i biedniejsi kupcy. Bogatsi, właściciele lepszych i większych sklepów, zawsze coś liczyli; a biedniejsi skurezywszy nogi pod siebie, palili poważnie kalfany i, zapewne oczekując lepszych czasów, myśleli o niebieskich migdałach. Trzeba oddać sprawiedliwość, że brodacze bardzo dobrze wyglądają; twarze ich poważne i delikatne ładnie odbijają od wysokich perskich baranich czapek. Podróżujący utrzymują że Bakijscy Tatarzy są to wyborne kopije miasteczkowych mieszkańców Iranu, gdyż ich język, fizjognomije

a nawet maniery, zupełnie są zgodne z czysto perskimi typami. Przyczyniają się do tego zapewne już to ciągle handlowe stosunki z Persją, już pobyt wielu Persów w Baku, z którymi Tatarzy od dawna weszli w pokrewieństwo.

Wielką miałem ciekawość zobaczyć jak też Ziummuriada w swej wieży mieszkała, — po schodach wijących się około wieży wdrapałem się na sam jej wierzchołek. Wierzch wieży płaski, a jej wnętrze zupełnie puste odgradza szeroki gżems, w koło którego możnaby i kariołką się przejeżdżać. Otóż i wszystko, a nigdzie nie ma najmniejszego śladu mieszkania. Widać że bogini lubiła świeże powietrze i gwiazdziste noce. Teraz gdy nowoprzybyły okręt salutuje, na wieży Ziummuriady wywieszają chorągiewkę, poczem z murów fortecy taciemiż wystrzałami z dział odpowiadają.

Choć wiatr wcale nie ucichał, w sporej barce puściłem się na morze. Najprzód dopłynąłem do dwóch fregat wojennych, stojących na pełnem morzu, gdyż musiałem się uścić z danego słowa (nowej znajomości), jednemu oficerowi floty, rodem Włochowi. Panowie żeglarze, między którymi byli Grecy i Niemcy, przyjęli mnie



otwartemi ramiony, i oprowadzili po obydwóch swoich fregatach,—zadziwiała mnie wszędzie dziwna czystość i porządek. Oficerowie wychwalali morską służbę. Nie chciałem tylko im wierzyć, żeby łatwo było przyzwyczaić się do tak ciasnych kajut, gdzie co krok trzeba się o coś zaczepić. Tymczasem przynieśli kawę i jeden z oficerów zaczął szklanki nalewać. Na małym stoliczku wszystko podskakiwało, brzęczało i ciągle mu się z rąk wymykało, bo fregata nie przestawała się kołysać. Gospodarujący nie był tém zakłopotanym, ciągle robił swoje i umiał wszystko w porządku utrzymać,—zabawnie tylko było patrzeć, że drugi kolega musiał go niekiedy podtrzymywać. Po skończonej kawie na stoliczku odmicniła się dekoracja; zamiast imbryczków wystąpiły butelki, które jeszcze więcej stuku narobiły, ciągle jedno drugie szturchały i prawdziwy śmiech wiodły o pierwszeństwo odkorkowania. Nie wiem na którą z antagonek padł wybór znawców, bo wymknąłem się do barki i popłynąłem ku zatopionemu miastu.

W rzeczy samej, o kilkaset sążni od lądu, trzy wieże ze strzelnicami wznoszą się na

parę łokci nad wodą; obok tego widać jeszcze mury fortecy, albo ufortyfikowanego karawanseraju.

Podpływałem do każdej z tych wież i chodziłem po nich. Tak są grube i szerokie, że idąc i po kilku w rząd, można po nich do koła spacerować i to bez najmniejszego niebezpieczeństwa, bo wewnątrz zasypane gruzem.

Oryginalny ztamtąd widok, białe bawie i drzwi wszystkich domów ze swemi obwódkami, obrócone są ku morzu, i dla tego patrząc ztamtąd, więcej widać białego koloru, niż się go dostrzeże w ulicach. Całe miasto od samego morza, pnąc się pod górę, rozkłada w amfiteatr i dziwnie jakoś pstrokato wygląda. Z lewej strony już na wzgórzu widnieją ruiny zamku, ciemna poczerniała od czasu, wieża i także minarety, ładnie się zarysowują na niebios szafirze, a piaszczysty brzeg, fantastycznemi trąbami, wydmanami, i wzgórzami, rozszerza i uzupełnia ten melancholiczny pejzaż.



**S**ZESNASTEGO (28) Kwietnia, dniem przed wyjazdem do Kuby, zakłopotany byłem najęciem koni do Ateszgachu, gdzie osiedli Czciciele-ognia. Po długich negocjacjach dano mi nareszcie wóz pocztowy, ale z warunkiem żebym wrócił do Baku. Wziąłem z sobą tłumacza i puściłem się obejrzeć samorodne ognie, i świątynie ich czcicieli \*).

\*) Ateszgach leży z północno-wschodniej strony, o półtorej mili od Baku, między wsiami Sarachane i Amirdżan; w Bakijjskiej prowincji są jeszcze inne ognie, nazwane małemi, które gasną od deszczu i śniegu, co się nigdy nie zdarza z ogniami Ateszgachu. Zarważano że kiedy wiatr bywa z południa, wtenczas się ognie wzmagają, a kiedy z północy, słabną.

Dzwonek tętnił, tłumacz mój nileżał, a wóz toczył się po piaszczystych wydmach. Słońce w połowie za chmurami kłoniło się ku zachodowi i rzucało jakiś niepewny koloryt na morze, które często zasłaniało się najdziwniejszymi pagórkami.

Z oddalonych gór wiał wiatr i nanosił cudny południowy zmrok. Jest to pora którą najbardziej lubię. O takim zmroku i prozaiczne miejsca lepiej wyglądają, — zagładzają się wszystkie ostre kąty i zostaje tylko kanwa, którą wyobraźnia po swojemu zarabia. Lubię jeszcze zmrok, bo mi wystawia walkę światła z ciemnotą, tę walkę na zabój toczącą się od niepamiętnych czasów. Jakżeż nie lubić i Czcicieli ognia, co ciągle o tej walce rozmyślają. Ale otóż i jasność, — wjechaliśmy na wzgórze z którego widać było świątynię z buchającymi ogniem wieżami. Ogromne ognie płonęły i ze wewnątrz murów. Szeroka łuna jak sięgnąć okiem wszędzie się rozlega. Co za szkoda, że z tamąd morza nie widać.

Wracam znowu do zmroku, do tej wojny światła z ciemnością, bo znajduje ją na każdym kroku. Czciciele-ognia może zanadto figury-



cznie i zmysłowo pojęli tę walkę, ale ileż to prawd świętych w ich Zenda-Weście, prawd, z których i dziś można się zbudować. Dwoistość była u nich już w zarodku przy stworzeniu świata. I tak Ormuzd zaczyna świat tworzyć i wywołuje do życia Ferwersy, to jest ideały, mające stać się podstawą rzeczy widzialnych i normą wszelkiego istnienia. Tuż zaraz występuje Aryman i tworzy przeciw ludziom Diwy, to jest złych duchów kusicieli. Drzewo śmierci, przeistacza się w drzewo wiadomości. Odtąd jasny Ormuzd z ciemnym Arymanem nieustannie walczą, ale Syrwane-Akieryne tak od dawna postanowił, że walka musi się zakończyć i wtenczas nastanie wiek światła i cnoty. Dla tego też Zoroaster w swej księdze nakazuje myśleć, mówić i działać czysto. Nakazuje rozszerzać władzę Ormuzda, kochać światło, a wystrzegać się ciemności i złego. Po śmierci kadegego pójdzie jego Ferwers na wierzchołek góry Albordsz i stanie przed Ormuzdem. Po ostatecznym sądzie ludzkie Ferwersy pójdą na most Czynewad. Zwolennik światła przeprawi się przez most do Doladmanu i żyć będzie na łonie Syrwane-Akieryne, a nieprzyjaciel

światła spadnie z Czynewadu do Duzaku, gdzie go czekają najokropniejsze męczarnie.

Podjechaliśmy do ognisk które nie dalej jak na kilkadziesiąt kroków od świątyni, olbrzymiemi płomieniami wydobywały się z ziemi; było ich wszystkich szesnaście.

Chciałem się sam przekonać czy można wzniecić ogień na zupełnie świeżem miejscu. Zacząłem koło siebie kijem świdrować i kiedy jamka już była na ćwierć łokcia głęboka, zapaliłem u innego ogniska kawał papieru, przyłożyłem go do świeżo wygrzebanej jamki, i natychmiast gaz się zapalił. Takim sposobem otrzymują się wielkie i małe ogniska, inaczej choćby kopać najgłębiej nigdy się ogień sam przez się nie pokaże.

Zewnątrz przybytek Gwebrow zupełnie podobny do karawanseraju, zabudowany w ogromny pięciokąt i opasany wysokim murem. Tak jak w każdym karawanseraju, mur ten jest zupełnie głuchy, ale stanowi tylną ścianę wszystkich budynków, których drzwi (i okna jeżeli są), wychodzą na wewnętrzny dziedziniec. W Atesgachu okien nie było, bo w stylu wschodnim jest to już wielki zbytek, ale za to cały budy-



nek zewnątrz i wewnątrz był bardzo starannie wybielony.

Na murze z lewej strony wznosi się wieża, z której przeprowadzony ogień olbrzymim wybuchu płomieniem. I ognie płonące na ziemi i wieża na świątyni, znajdują się z lewej strony.

Zbliżyłem się do frontowej ściany i przez pyszną, jedyną bramę całego budynku, nad którą było tak nazwane Bala-Chane \*) (piątro), wszedłem na obszerny dziedziniec, którego środek zajmował biały budynek w stylu indyjskiej pagody. Z czterech stron jego kopuły wznosiły się małe wieżyczki, również wiecznym ogniem płonące. Nad wejściem znajduje się tam sanskrycki napis, głoszący wszystkim szczęśliwym, co go czytać umieją, że zabudowania Ateszgachu powstały 1868 roku Indusów, to jest po naszymu 1810 roku \*\*).

Po szerokich schodach weszliśmy do tego budynku. W samym jego środku był odkryty grób;

\*) Tam zazwyczaj pomieszczają się podróżni zwiedzający ogień.

\*\*\*) Przed tem Czicielo-ognia mieszkali odrębnie, jak kto mógł; terazniejsza zaś świątynia stanęła kosztem Sobra-Mogundasa, Czicielo-ognia, truchtającego się handlem i zmarłego w Baku.

wyłożony slicznymi białymi płytami i utrzymywany w wykwintnej czystości. Ten wiecznie odkryty grób, jest wspólnym dla tych mieszkańców Ateszgachu których ciała mają być po śmierci palone \*).

\*) W Ateszgachu od niepamiętnych czasów, niektórych Czicielo-ognia palą po śmierci, a innych w położeniu siedzącym chowają na cementarzu, tuż zaraz za murami ich mieszkania. Już to samo następcza pytanie, czy Czicielo-ognia są Gwebrami, to jest wyznawcami Zoroastra, czy może jako przybyli z Indji, należeli tam do jednej z sekt ubóstwiających ogień. Opisujący ognie różnego są o tem zdania. Olearius, Kempfer, Herder, Lereche, Gmelin i Berczin dowodzą, że to są Czicielo-ognia różnych sekt indyjskich. Langles i Suzannet utrzymują że to są prawdziwi wyznawcy Zoroastra. Przewartowawczy to wszystko, trzymam się zdania uczonego Eichwalda (*Reise auf dem Caspiischen Meere und in den Caucasus* von E. Eichwald. 1834.); według którego kaukazy Czicielo-ognia są prawdziwymi Gwebrami, ale ponieważ żyją między mahomedanami którzy ich przesladują więc muszą się ukrywać ze swą prawdziwą religiją. I w rzeczy samej, to ostatnie zdanie ma najwięcej prawdopodobieństwa. Wiadomo że w czasach zawojowań Arabów, religija Zoroastra panująca w Persji dziwnie była wytopianą i przesladowaną, a jej wyznawcy sami siebie nazywający Behendi (prawowierni), a przez swych nieprzyjaciół nazywani Gwebrami, to jest Giarurami, byli zmuszeni rozprzeczając się na wszystkie strony. Nie więc dziwnego, że kaukazy Gwebrowie z Indji przybywają. Rozpytywałem się ich troćkiwie przez mego tłumacza i to tylko mogłem zauważyć, że co się tyczy swej wiary, nie stanowczo nie chcieli powiedzieć. Kiedym się ich zapytywał czy są wyznawcami Zoroastra?



Według przyjętego zwyczaju, mój tłumacz pociągnął za sznurek zawieszonoego w kopule dzwonu. Po daném haśle, wyszedł dość młody Gwebr, śniadej, czarno zarosniętej twarzy, w białej szerokiej sukni, oznajmił nam że nie dawno przybył z Indji, że ma zupełnie odrębną świątynię i że może nam odprawić nabożeństwo, jeżeli tego życzyć będziemy. Zapytany o innych Gwebrów, powiedział że oprócz niego jest jeszcze czterech, którzy mają wspólną świątynię i razem nabożeństwo odprawiają. Później poprowadził nas do siebie.

Rzuciłem okiem na mistyczny niziutki budynek ciągnący się pod murami pięcioboku. Mnóstwo tam było drzwi prowadzących do odrębnych celi, co kazało się domyslać że liczba Gwebrów w Ateszgachu musiała być wprzód daleko większą \*).

Czy są Wisznuitami? Szywaistami? Lub może do jakiej innej indyjskiej sekty należą? Wtenczas odpowiadali że nie tego nie rozumieją i że czczą tylko ogień. Otcioiele, żadnych ksiąg i żadnych rękopismów nie mają, między sobą używają jakiegoś indyjskiego narzecza, a z moim tłumaczem rozmawiali łamań turecko-persczyzna.

\*) Podczas pobytu Eichwalda, liczono ich dwadzieścia czterech.

Świątynią nowoprzybyłego, był po prostu, niziutki, biedniutki, ale dziwnie czysto utrzymany pokoik. Nie tylko jego ściany, ale nawet i podłoga najstaranniej była wybielona. Trzy żelazne rurki wetknięte w podłogę, jakby trzy świece gazem oświecały niziutki ołtarzyk zasłany białą materją. Ołtarzyk ten był sobie po prostu piedestał ze schodami, na których porozkładane były malutkie, z brązu wyrobione bóstwa i różne kolorowe kamyczki. Enigmatyczne świętości wyglądały dosyć monstrualnie, a z podobieństwa ich do ludzi i do różnych zwierząt, trudno było dojść coby mogły znaczyć. *hol. oimazowu oidos ilawabax orasora*

Prosiłem Gwebra, żeby mnie poprowadził do swych towarzyszy i żeby razem z nimi odprawił nabożeństwo. Odmówił mi stanowczo. Nie chcąc wchodzić w przyczynę ich nieporozumień, pożegnałem go i udałem się do czterech innych Gwebrów. *nb odprz lion i siraowoy*

Zastalem ich wszystkich w jednej celi, w której razem mieszkali. Trzej z nich dziwnie wyrzistych oczów, ubrani byli w ciemne znośzone sutany, i zdawali się, mieć więcej jak po lat pięćdziesiąt; tak można było wnosić że



zmarszczków ich ogorzałych twarzy, z ubielonych długich bród, i z siwych na tył spadających włosów. Czwarty Gwebr zupełnie nagi, z przepasanemi tylko biodrami, leżał na niziutkim niczem nie zasłanym tapczanie.

Zgrzybiały, dogorywający staruszek, już od dwóch lat naznaczył sobie taką pokutę, i postanowił do końca życia nie wstawać z tapczanu i ciągle patrzeć na płonący przed nim ogień. Od ciągłego leżenia, boki jego wychudłego, brązowego ciała, zupełnie poczerniały.

Rzecz powiadają że ci Gwebrowie, co przed kilką laty w Ateszgachu poumierali, jeszcze sroższe zadawali sobie męczarnie. Jeden z nich aż do samej śmierci, miał ciągle stać w kącie z podniesionem do góry ramieniem, które mu jeszcze za życia skosniało; tak że już niemi mógł władać i w żaden sposób nie mógł na dół opuścić. Inny znowu wbijał w siebie gwoździe, i nosił grube, druciane zawłoki.

Trzej Gwebrowie poprowadzili mnie do swej świątyni, zupełnie podobnej do poprzedzającej z tą tylko różnicą że była dwa razy większą, a ołtarzyk znajdował się za półszalowanem, najstaranniej wybielonem.

Nabożeństwo zaczęło się od tego, że jeden z Gwebków zaczął trąbić w ogromny róg zrobiony z morskiej konchy. Po takiej inwokacji, wszyscy trzej zaczęli śpiewać i dzwonić małenkimi dzwonekami. Śpiew się ciągle wzmaczał, a dla zrobienia większego efektu, małenkie dzwonki przemieniano na coraz większe; tak że pod koniec, dwa spore dzwony i żele któremi dzwonił najstarszy Gwebr, ogłuszyły mnie zupełnie. Huczne takie modły trwały z pół-godziny. Nareszcie jeden z Gwebków znowu zatrabiał, zdjął z ołtarzyka cynową miseczkę z lodowatym cukrem, rozdał go wszystkim przytomnym i na tem się nabożeństwo skończyło \*).

Pożegnałem Gwebków, ale jeden z nich nie opuszczał mnie, bo miał mi jeszcze jedną osobliwość pokazać. Wyszliśmy za bramę

\*) P. Berczin (H. H. Березина путешественник по Арагестану и Закавказью. 1850. Казань.) przypatrując się temu nabożeństwu w Ateszgachu, gorliwie dowodzi że to nie są Gwebrowie ale Szywahici; trzeba wiedzieć że Czciociele-ognia kiedy są sami, nigdy się w podobny sposób nie modlą. Podróżujący chcą od nich nabożeństwa i za to im płacą; nie więc dziwnego, że przypatrując się w Indjach obrzędom Szywahitów, teraz z korzyścią za swoje je udają.



i zbliżyliśmy się do ogromnej studni, leżącej za opasującymi murami. Studnia ta była jak najstaranniej pokryta grubem radnem. Gwebr wskazał nam ją i powiedział: „ogień samorodne mieliśmy i w Indjach, ale takiej studni tam nie było.” To mówiąc zdjął pokrycie i wrzucił do studni trochę ognia. Gaz się zapalił, wybuchnął kolosalnym ognistym słupem, i dała się słyszeć eksplozja tak silna jakby wystrzał z działa \*).

\*) Gaz Ateszgacht kiedy się nie pali, wienczas temperatura jego zwyczajna 12°. Według najnowszego i najlepszego rozbioru jest to gaz węglowodorowy; podziemny proces jego wyrabiania się ma różną teorię, ale dotychczas jeszcze jest prawdziwą zagadką dla panów uczonych. Podróżujący jeden Francuz tak się onim wyraził: „gdyby ogień Bakijskie i wszystkie odnoszące się do nich szczegóły, były zwiedzone przez doświadczonych fizyków i biegłych chemików, to daleko wcześniej zastosowanoby gaz do oświetlenia.” *Gambá, Voyage dans la Russie Mérid: t. II. p. 302.*

VII.<sup>a</sup>

W DRODZE wielki ze mnie gawęda. To gwałtem złapany tłumacz, któremu może po raz pierwszy zdarzyło się być tłumaczem, to znowu mój farsycki dykcjonarzyk dopomagają mi rzucać pytaniami. Każdy zdybany Mahometanin po moim uroczystym *Salam Alejkium* (Błogosławieństwo Boskie niech będzie z tobą), po moim *Nachaber* (co słyhać nowego), musi choć malutką dań złożyć. Najtroskliwiej zawsze dopytuje się o miejscowe podania, ale — cóż rzadko które daje się powiódzić; ani sposób nawet rzucić na nie gazowe zasłonki, bo i wtenczas jeszcze zanadto byłyby wygorsowane.



Cieszy mię więc bardzo gdy natrafie na por-danie dające się wylać na papier. Oto jest je-dno które słyszałem na drodze do Kuby.

Dojeżdżając do wsi Czyrach, wznosi się ogro-mne zamczysko (Kała Czyrach), dzisiaj puste zupełnie. Tysiąc lat minęło, jak w tém zamczy-sku mieszkał Ulmeli Giaur (nieśmiertelny Giaur), najdawniejszy władca tej strony, któremu i najdalsze krainy ciągle haracz płaciły. Nieśmiertelny pędził błogie życie; ale oto zjawili się mahometanie, wypowiedzieli mu wojnę i za-częli szukać jego posiadłości. Ulmeli Giaur według przyjętego zwyczaju, siedział ciągle w swym zamku, ani na chwilę go nie opuszczał, ale pilnie się rozporządzał, i w różne strony liczne zastępy rozsyłał. Gońce ciągle mu dono-szą że mahometanie nie na żarty wojują, że coraz się bardziej zbliżają, — nareszcie oznajmili mu że już całe państwo zdobywają. Ulmeli Giaur gońców nazad odprawia, i do ostatniej krwi kropli walczyć nakazuje.

Jedną razą jakies przeczucie zaczęło go mo-cno trwożyć. Ulmeli Giaur wszedł na teras i zaczął się rozpatrywać na wszystkie strony. Z jednej strony stare zamczysko morskie fale

obmywają, — tam nie ma żadnego niebezpie-czeństwa; — z drugiej strony słyhać w lesie ogromny loskot i wrzawę. Ulmeli Giaur wpa-truje się lepiej i spostrzega zielone nieprzyja-cielskie chorągwie. Tegoż wieczora już nikt więcej Giaura nie widział, sam jeden opuścił zamczysko i udał się gdzieś daleko w północne strony (Zulmat Terefte). Żyje on jeszcze i te-raz, a choć tysiąc lat wlaźło mu na barki, słu-ży mu jeszcze zdrowie, ale już postarzał i takie mu długie rzęsy wyrosły, że sam nie wie co z niemi począć i najczęściej zakłada je za uszy.

Od czasu jak nieśmiertelny Giaur zemknął na północ, nikt z ludzi nigdy go nie widział, ale Dżyny (duchy) z podwładnych mu niegdys gór jeszcze i dzisiaj zostają pod jego mocą i często go odwiedzają. Nieśmiertelny Giaur zdzięciniął, zapomina się i zawsze o temże-samém z nimi rozmawia.

— Hej, hej — powiada Ulmeli Giaur — co tam się dzieje w moim kraju? — Czy tam tak pięknie? — czy tak tam wesoło jak dawniej by-wało?

**Dżyny.** O nie, Ulmeli! tęskno, smutno, wszyst-ko się zmieniło.



**Umeli Giaur.** A co tam mój naród, czy i tak bitny, czy taki waleczny, jak to dawniej bywało?

**Dżyny.** Biją się po trosze, ale więcej próżnują.

**Umeli Giaur.** A kobiety czy zawsze takie piękne, czy zawsze takie cnotliwe?

**Dżyny.** O piękne, Umeli! ale wielkie psotnice.

**Umeli Giaur.** A Kała - Czyrach zamczysko moje?

**Dżyny.** Puste zupełnie, w niem tylko szakale i sowy.

**Umeli Giaur.** A morskie statki, czy zawsze zawijają wprost do Czyrachu, jak to dawniej bywało.

**Dżyny.** O Umeli, gdzie było morze, tam teraz piasek. Nie raz z zamczyska natężamy nasz wzrok, ale morza ani rąbku nie dostrzedz.

Nie będę z bajecznego podania wyprowadzać żadnych wniosków; ale koło Czyrachu są ślady cofnięcia się Kaspjskiego morza, a niedaleko od Baku wyglądające z morza karawanseraje niemogłyby zatonać, jeśliby podnoszenie się i opadanie wód szło zwyczajnym porządkiem, to jest jeśliby się odbywało periodycznie i na mniejszą skalę. Oprócz tego w wielu miejscach

na morskiem wybrzeżu i na półwyspie Abszerońskim \*), widziałem nietylko ślady wulkaniczne, ale nawet całe wygasłe kraterzy \*\*). A na niektórych zupełnie pustych, niezaludnionych wyspach są całe szlaki kolei wydeptane kółkami. Wszystko to razem wzięte, dowodzi że Kaspjskie wody musiały uleść jakiejs wielkiej i długiej rewolucji.

Żadne morze nie narobiło tyle hałasu w uczo-  
nym świecie, ile Kaspjskie, a to z powodu swego odosobnionego położenia i niełączenia się z żadnem innem morzem. Obfita masa wód

\*) *Abi sziriz*, po persku słodka woda, nazwisko nadane od obfitego źródła, znajdującego się na półwyspie. Dziwna to ziemia ten Abszeroński Półwysp, pod nogami źródła nafty, samorodne ognie i ślady podziemnego wulkanizmu, a nad głową unoszące się tumany piasku. Piasek ten ciągle morze narusza; a ponieważ wiatry zawsze tam bywają w kierunku północno-wschodnim, stąd miejscami szerokie piaszczane nasypy po kilka łokci mają wysokości, a gdzie niegdzie natrafia można na całe opuszczone wsie i ogrody, zupełnie piaskiem zasypane.

\*\*) Znamienity Humboldt, którego zwiędzał północne brzegi Kaspjskiego morza w roku 1829, w następujący sposób wyraża się o formacji wulkanicznych błot (27 Listopada 1827 roku), na półwyspie Abszerońskim: „Okolo wsi Baklychli, na zachód od Baku, ogniasty ślóg tak się wznosił wysoko, że można było go widzieć o sześć mil, wielkie odłamki skał, wyrwane z głębin, daleko w okolo były porozrzucane.” — *Kosmos* I. Theil, Str. 239.



wlewa się ciągle w to morze, ale gdzie się ona podziwia? To właśnie sęk, którego nieraz porodził wiele dziwacznych, ale żadnej zaspokajającej teorii. Ptolomeusz pierwszy wpadł na myśl, że Kaspijskie morze ma podziemną komunikację, w co długo Geografowie wierzyli; utrzymywano nawet, że drzewa i rośliny Kaspijskich brzegów widziano w Perskiej zatoce, trwało to aż do czasów Kämpfera, którego wybornymi dowodami całą tę teorię obalil. Ze starożytnych pisarzy Herodot jest jeszcze dokładniejszym, bo przynajmniej wiedział o wewnętrznym położeniu Kaspijskiego morza. Piszący po nim Strabon i Pliniusz, utrzymywali że Kaspijskie morze łączy się z morzem lodowatym. Późniejsi zaś po nich pisarze, aż do r. 1558, to jest do podróży Anglika Jenkinsohna, również po starożytnemu dowodzili. Jedni utrzymywali że łączy z morzem Azowskim, inni znowu twierdzili że jego długość rozciąga się od wschodu do zachodu. W nowszych czasach, nie tylko mnóstwo podróżnych, ale nawet i całe uczonne ekspedycje zwiedzały Kaspijskie brzegi; wiele badano, wiele mierzono, nie wszystko się jednak rozjaśniło, bo o rewolucjach którym

to morze podlegało, nie stanowczego nie wyznaczono. Stało na tém: że Kaspijskie morze nie ma żadnej komunikacji; że przybývająca woda z wpadających rzek, ulatnia się za pośrednictwem wyzięwów; że w przeciągu trzydziestu lat, Kaspijskie morze ciągle się podnosi, a później w przeciągu tyluż lat ciągle opada. Zgodzono się i na to, że jest wiele geograficznych kart tego enigmatycznego morza, ale że dokładna szczegółowa karta, byłaby bardzo użyteczną dla bezpieczniejszej żeglugi. Może i jeszcze co ciekawego napisano o Kaspijskich falach, wszakże od czasu starożytnych historyków i geografów, aż do znamiennego Humboldta, tylu uczonych je badało, ale ja niestety nie wiem nic więcej. Rzeczy geograficzne i historyczne kaukazkie, nieraz tak pogmatwane, że aby się doszperać prawdy, trzeba mieć całą bibliotekę pod ręką, a na Kaukazie o książkach nie słyhać, ale za to wiele broni,—jedźmy dalej zawojowywać tych krwi chciwych Górali.

Wjechałszy w Kubijską prowincję, po mrotonnym piasku, na wszystko się z przyjemnością spogląda. Z lewej strony ciągnie się



pasmo gór ozdobionych drzewami, przed nami ciągną się szmaragdowe doliny, urozmaicone krzakami i naćcentkowane kwiatami. Wpatrując się w te piękne, ciągle mieniające się pejzaże, podróżny i sam jeden nigdy się nie znudzi, a czas tak prędko zdaje się lecieć, jakby mu kto przyczepił dwie pary skrzydeł.

Dojeżdżałem do aulu w którym był Czaparchane (dom pocztowy), chciałem tylko przemienić konie i zaraz dalej jechać, bo do zachodu słońca jeszcze parę godzin zostawało. Stało się jednak zupełnie inaczej.

Aul ten (zapomniałem jego nazwisko), zdaleka nie obiecywał nic godnego uwagi, ale kiedy się do niego już zbliżyłem, usłyszałem znajomy gwar Mahometan. Jądem dalej, mijam zasnijające ich drzewa, nareszcie z lewej strony spostrzegam niwę, na której pod rozłożystymi czynarami zebrało się mnóstwo narodu. Sam nie wiedziałem co by to znaczyło, ale na widok tylu zacnych typów, odprawiłem konie na pastwę i powiedziałem że będę nocować.

Zaledwie zbliżyłem się do pierwszej grupy, a już mnie prowadzą z sobą i ze wszech

stron krzyczą: oto postronny człowiek — niechże będzie naszym sędzią.

Pod rozłożystym czynarem, tuż obok innych grup; siedziało dwóch starców. Jeden z nich tak był ubrany jak Mulla, z tą tylko różnicą że miał na głowie zielony zawój (czahna), co mi po raz pierwszy zdarzyło się widzieć. Drugi, po nadętej minie i po uszanowaniu, z jakim dla niego byli tuż przy nim stojący Tatarzy, łatwo było odgadnąć że to był Juz-Baszy (Soltys, Setnik, dosłownie Sto-główek), to jest najznamienitsza we wsi osoba. Posadzili mnie koło nich, i Juz-Baszy w ten sposób poważnie przez tłumacza odezwał się.

Długo już tu rozprawiamy, ale nie możemy przyjść do końca, postanowiliśmy więc zdać naszą sprawę (na sąd pierwszego) podróżnego co się nadarzy; — wszakże powiedziano w Koranie że każdy człowiek może być sędzią.

A, mocno to mię cieszy — powiedziałem — ale o cóż tu rzecz idzie.

Ten starzec w zielonym zawoju, mówił Juz-Baszy — jest Seidem\*), to jest potom-

\*) Seidów nazywają także Agamirami; jest to skrócenie dwóch słów, Aga (Pan) i Emir (Książę).



kiem Mahometa, a według postanowień naszych dawnych Chanów, każdy z potomków Proroka ma u nas prawo do dziesięciu i różnych przywilejów. Na nieszczęście, tych potomków bardzo jest wielu w Kubijskiem Chanstwie.

— Nie na nieszczęście, ale na szczęście, przerwał poważnie Seid i spojrział surowo na formujące się koło z coraz więcej przybywających widzów.

— Przypuśćmy że na szczęście, — mówił dalej Juz-Baszy. — Otóż prześwietny Seid jadąc do Derbentu, zachciał nocować w naszym aule; — trzeba wiedzieć że on przyjechał na bardzo nędznej i trzech szajów nie wartej szkapie.

— *Cheir, cheir* (nie, nie), — zawołał Seid — przyjechałem na ładnym karabachskim ogierze.

— *Inshallah* (niech się dzieje wola Boska), powiedział Juz-Baszy. — niechaj sobie i na karabachskim ogierze, — oto pod drzewem leży siodło, cha — cha — cha — spojrzysz tylko Ago i powiedz czy widziałeś kiedykolwiek takie siodło na karabachskim ogierze, takie siodło chyba na osle można zobaczyć.

— *Jachsi, jachsi* (dobrze, dobrze), — mruzczał pod nosem urażony Seid — i powtarzał ciągle że przyjechał na prawdziwym karabachskim ogierze.

— Przechacny Seid — mówił dalej Juz-Baszy, przyjechawszy do nas na nocleg, puścił swoją karabachską szkapę na paszę, i w nocy wilcy mu ją zjadły; — sam więc winien, bo nie chciał nikogo się rozpytać, i.

— Kogoż się miałem rozpytywać — przerwał Seid — wszakże krzyczałem, stukąłem i nikogo nie mogłem rozbudzić; — nie wiem czybyście dali przytułek koniowi, kiedy ja sam musiałem nocować pod gołym niebem.

— Nie rozpytał się, nie rozpytał się, — powtarzał Juz-Baszy — a teraz uważaj Ago, on tu się gwałtu dopuszcza, wybrał sobie najlepszego konia z naszego wiejskiego stada, (tu z grupy wysunął się właściciel konia i uklonił mi się patetycznie), przywłaszcza go sobie prawem dziesięciny, i chce na nim dalej w drogę wyruszyć. My trzymamy się jeszcze poniekąd Chańskich dawnych praw, ale jak wiadomo prawo dziesięcin Seidów już zupełnie upadło.



— Dobrze, — powiedziałem — sprawa wasza weale nie zagmatwana, mogę być sprawiedliwym sędzią jeżeli Seid dobrowolnie się na to zgadza.

— A cóż mam robić, zgadzam się, zgadzam się, — mruzczał Seid, gładząc swą pomarańczową brodę \*) — pamiętaj tylko na to, ile Prorok mój prarodziciel, zrobił dobrego dla prawowiernych. Bez niego Mahometanie nie mieliby wiary. Bez niego Mahometanie byliby Kiasiranii. Bez niego Mahometanie nie byliby Mahometanami.

— Niech i tak będzie, — przerwałem — ale powiedzcie mi, wielu może być Seidów w Kubijskiem Chanstwie?

— Dwiestu z górą — odezwało się kilka głosów.

— A wiele macie koni w waszym aule?

\*) Pofarbowane na ciemno-pomarańczowo wasy, broda, rękawice, nawet paznogie, ozdabiają u kaukaskich Mahometanów człowieka lepszego tonu. Nie tylko na Kaukazie, ale prawie na całym wschodzie zwyczaj ten jest w użyciu; chociaż różnić się nie jest powszechnym, bo i czarna broda ma także swoje zalety. To podrabianie się mężczyznom pod kolor rudawy, gruntuje się na tem, że na wschodzie rzadziej z natury uważają się zawsze za mądrych.

— Nazbiera się pięćdziesiąt. — A czy jest tu ktokolwiek ktoby był właścicielem dziesięciu koni?

— Nie ma nikogo, my ludzie biedni, sam Seid wie o tem doskonale.

— Kochany Seidzie, — powiedziałem — widzisz więc że nikt nie ma dziesięciu koni; sprawa więc o dziesięciu koniach sama przez się upada.

— Ależ ja nakładam dziesięcinę na cały aul, — krzyknął oburzony Seid — i chcę ztąd wyjechać na dobrym koniu.

— Powiedzże — przerwałem — coby wtenczas było, gdyby w tymże samym momencie i inni Seidzi mieli podobne chętki. Wszakże musielibyście jechać po czterech na jednym koniu, coby dosyć śmiesznie wyglądało.

Tu wszyscy parsknęli ze śmiechu, a Seid mruknął.

— *Inszallah*, sądz jak chcesz.

Staęło na tem, że Seid konia nie dostał, ale przez wzgląd że poniósł stratę która mu niedozwalała dojechać do Derbentu, uprojektowałem dla niego ogólną składkę którą zajęto się natychmiast. Sam Juz-Baszy obchodził



wszystkie grupy, abazy i szaje rzeście do czapki leciały, wszyscy byli zadowoleni, nawet i poważne oblicze potomka Mahometa zjasniało radością. A kiedy później oddano mu czapkę i Seid bardzo mi wymownie dziękował, to i ja sam bardzo byłem uradowany, że się wszystko tak dobrze skończyło, i że mi się udało być sędzią, i to czymże jeszcze, sądzią kuzyna Mahometa!

## VII.

Chmury uperfumowany, cudny był radek, kiedym dojeżdżał do Kuby; nie do tej Kuby co należy do Hiszpanii i w której pieprz rośnie; ale do Kuby, Zakaukaskiego Powiatowego miasteczka. Chmury i tęcze, deszcz i słońce, wszystko to można było widzieć to razem, to na przemiany. Z lewej strony, łańcuch dorodnych gór przykrywał się całkiem gazową lekką mgłą, to znowu połyskiwał swym białawym grzbietem; a tylko miejscami, dziwnie ruchome, rozrzucające się obłoki, niby szarfami przepasywały wynioślejsze drzewa, i girlandami arabsków wienczyły ich nieruchome zielone czoła.



Znowu obłoki i mgła cały zasnuwają krajobraz. Znowu coś się mroczy, wyjaśnia, formuje, powtarza się cały proces dioramy, i oto cały pejzaż jaśnieje nieruchomym, cudownym, blaskiem, a nad nim wyniosły Szach-Dach ukazuje swoje oblicze, ozdobione śnieżnym zawojem. Ile tu kolorów, ile różnaitości, jaka cudowna gra światła i cieni. Lekki wiatr znowu nasuwa na góry fantastyczne obłoki, i znowu je zmiata. Pną się wyżej ku niebu, piętrzą i tam przybierają formę takichże borów i takichże gór. — To góry idealne, to sny i marzenia rzeczywistych gór. A tam dalej nowe cuda; piękna Iryś opuściła swój jasny różno-barwny szal, jeden jego koniec zaczepił się o góry, a drugi, daleko w dolinie, leży na ziemi całkiem rozpuszczony, i przykrywa swoim przezroczem małą wioseczkę, w której majaczą sąki i drzewa... Tęcza błednieje, niknie, nakoniec przepada zupełnie i już jej nie ma ni śladu!

U stóp takiej fantasmagorji gór, rozpościera się zielona dolina; na niej nad drogą czernieją dwie szubienice, postrach Górali, na których przed kilką laty dwóch rozbójników stracono. Dalej na prawo, na tejże samej dolinie, daje się

widzieć w całym swym zakopconym blasku, ciemna, drewniana Kuba, otoczona niziutkimi okopami i ostawioną turami, między którymi gdzieś błyszczy harmaty. Nad terasami domów, w przyzwoitej od siebie odległości, wznoszą swe głowy, trzy czarne drewniane meczety, pokryte poczerńiałami od czasu gonimiami. Trzy meczety zupełnie jednakowe, a budowa ich najprostsza w świecie. Na zrębie ścian, umieściły się wysokie, spadziste, piramidalne dachy, których wierzchołki zakończone niby jakimiś czarnymi kominami, z nich właśnie *mużycy* zwołują na modlitwę. Tani to wprowadzie sposób zastąpienia ładnych wschodnich minaretów, — nie bardzo jednak szczęśliwy.

Pierwsza żyjąca istota, którą wjeżdżając do Kuby spostrzegłem, była Mahometanka czerpiąca wodę z krynicy. W tym momencie musiałem się przed wrotami zatrzymać, bo do nich wybiegł podoficer, zapisujący zkąd i dokąd kto jedzie. Pod koniec nudnej tej indagacji, na pytanie dokąd jadę, przypominam sobie że kazałem mu zapisać: — do krynicy (małe rozstrągnięcie), ależ bo koło tej krynicy, jaka to ładna winiętka do wschodniego albumu. Ileż to w tej



posepnej, pełnej wdzięku twarzy, dostrzedz można było rzewności, skromności i prostoty. Cudna ta istota, pod swą draperją szafirowej zasłony, z tem zarzuconem ramieniem i z dzbankiem na plecach, przypominała mi biblijną niewiastę. Przechodząc koło mnie, nasunęła trochę zasłonę, ale zdążyłem się jej przypatrzeć i nie prędko zapomnę tę wyniosłą kibić, to wytoczone ramie, i to melancholijne, prawdziwie Rafaeloskie oblicze.

Aj Kuba!! Słońce nad nią tak jasno świeci, niebo takie błękitne, a w ulicach tyle błota, że trudno wozem przejechać. Ale co Mahometanom do tego, że wóz pocztowy w błocie zagrzęźnie. Oni z jednej i z drugiej strony wydeptali sobie ścieżki, rzucają filozoficzne spojrzenia na głębokie kałuże, i szczęśliwi chodzą w zupełnie suchych trzewikach.

Między nimi, widziałem po raz pierwszy żydów kaukaskich;—śniade, brązowe twarze, wyrazistych rysów, prawdziwe *fac-simile* starożytnych medali. Przypominają trochę swych europejskich jednowierców i są zawziętymi wrogami Tatarów i Ormian; nie lubią nawet mieszkać blisko nich i zaraz za miastem, za

rzeczką Kubinką, mają brudną, obszerną osadę, z samych ziemlanek złożoną \*).

Jak znużony żeglarz rad gdy u portu zarzuca kotwicę, tak i ja nie mniej byłem zadowolony, gdy nareszcie po długim brnieniu w ulicach i uliczkach, wóz się mój zatrzymał przed wysokim, oszarpanym domem, naznaczonym dla mnie na kwatere. Tam właśnie, na drugim piętrze, zająłem zupełnie pusty pokój z balkonem na ulicę.

Miasteczko nie ma interesującego. Nie ma starożytności, nie widać nawet żadnych śladów rezydencji Chanów. Pokazywano mi wprawdzie dom, w którym mieszkał ostatni ich władca, ale i ten uległ przebudowaniom, tak że trudno się domyślić jakim był za najświetniejszych swoich czasów.

Podczas kilku dniowego mego pobytu w Kubie, rzadko nawet mogłem wychodzić za miasto.

*Wskazywano mi w pobliżu wiosk wzdłuż rzeki Kubanki, w której żyją żydowie.*

\*) Na Kaukazie w różnych miejscach są osady żydów, trudniących się rolnictwem: Plemię Izraela, na Kaukaz przesiedliło się różnemi czasy z Armenii, do której przybyło około 270 lat przed Chrystusem za panowania Hratszja. Obszerne o tem traktuje: *Histoire de l'Arménie par Moïse de Khorène, trad. fr. par Le Vaillant de Florival, II vol. Paris 1841.*



sto, żeby się nasycić widokiem pięknych okolic, bo pogoda nie zawsze sprzyjała. Byłbym się porządnie wynudził, gdyby tam nie było Hrabiego W\* i Pułkownika K\* w towarzystwie których bardzo przyjemnie czas przepędzałem; — i dla nich nawet nad zamiar dłużej w Kubie zabawiłem.

Hrabia W. był jednym z liczby tych, których los najdawniej rzucił na Kaukaz, bo jeszcze przed trzydziestym rokiem. Z początku dosługiwał się wojskowo, a później z powodu ran otrzymanych w ekspedycji, był zaliczonym do służby cywilnej. Dymisjonowany pułkownik K., ozdobiony krzyżem Legii honorowej, nie mając żadnego funduszu, przyjechał daleko później na Kaukaz, i był naczelnikiem Kubijskiego Powiatu.

Dwaj weterani obyli się i przywykli do miejsca swego pobytu, codziennie w Kubie wędrowali; a w chwilach swobodnych polowali razem na dziki i jelenie w towarzystwie Begów tatarskich, od których byli powszechnie lubionymi. Szczególnie Hrabia, mówiący dobrze po tatarsku, miał u nich wielkie poważanie. Często się zdarzało, że Muzułmanie w prywatnych sporach

i zatargach nie będąc zadowoleni wyrokami swych Kazi, szli później do niego, jak do wyższej instancyi i zawsze jego rad i wyroków najściślej się trzymali.

Z mego balkonu nie raz byłem świadkiem pociesznych scen, przytoczę tu choć jedną.

W niedzielę, po dwudniowym deszczu, zaczęło się koło południa wyjaśniać. Blocko było okropne, i komu by przyszło do głowy, że Kubijskie damy wybiorą taką porę do robienia wizyt. Ale oto jedna dama, w białym kapeluszu z kwiatami, i w ogromnych męskich butach, w asystencyi lokaja, manewruje po błocie, z prawego końca ulicy. O dziwy! na lewym końcu tejże samej ulicy, pokazały się dwie inne damy także ustrojone w długie buty i w kapelusze rzesisto kwiatami upstrzone. Elegantki te dziwnie szpetnych fizjognomii, brną heroicznie po błocie, zbliżają się ku sobie i nakoniec spotykają się jak raz na przeciw mego balkonu.

Pokazało się że dążyły właśnie żeby się odwiedzić. Zaczynają rozmowę, ale w tejże chwili wschodnie dzwony, donośne głosy muezinów, przeszkadzają im, i zupełnie zagłuszają konwersacje tej zabryzganej grupy.



Takie trzy karykatury widziałem raz ilustrowane w niemieckim Chariwari, tylko że tam inaczej były uszykowane. Pod spodem były dwa wiersze, które i tutaj również pasowały:

Ehret die Frauen, sie flechten und weben

Himmlische Rosen im irdische Leben.

Ale wróćmy jeszcze do wschodnich dzwonów. Trzeba wiedzieć, że Kubijskie mueziny mogą śmiało walczyć o pierwszeństwo, z całą zgrają Zakaukaskich swych towarzyszy, których nie raz zdarzało mi się słyszeć.

*Allah el Allah u Muhamed el Ressel Allah.* Otóż i cała dość krótka, znajoma, formuła, którą trzeba wyspiewać — ale proszę posłuchać. Śpiew ten ciągnie się dobrych minut dziesięć, ile tam teli, ile tam różnych spadków. Nóta śpiewu dla wszystkich taż sama, ale każdy ekzekwuje ją inaczej, bo każdy muezin jak prawdziwy artysta ma swoją metodę. Kubijskie mueziny nie bez przyczyny celują nad innymi. Nie bez przyczyny stało się przy słowie: śpiewa jak kubijski muezin. Można w Kubie o tem usłyszeć świeżutkie, tylko co z igły podanie.

W Kubie dwa meczety należą do Szahitów, a trzeci do Sunnitów. Już nie wiem czy to próżność, czy pobożność, były do tego powodem, ale wyznawcy obydwu sekt, dokładali wszelkich starań, żeby się wzajemnie ogłuszać, w chwilach przeznaczonych na modlitwę. Długo w tej walce nie stanowczego nie zaszło, mueziny często się zmieniali, i na przemiany, to Szahickim, to znowu Sunnickim, oddawano pierwszeństwo.

Tak rzeczy trwały do śmierci jednego bogatego Bega, którego nazywano: Mahommed-Baba-Imam-Aris-Kozali-Ohly-Baba zagorzały Sunnita, w testamencie swoim naznaczył ogromną sumę, na utrzymanie muezina po wieczne czasy przy Sunnickim meczecie, nie skąpił rad, zalecił nawet śpiewaka z Turcji sprowadzić.

Skoro się wieść o tem rozeszła, z różnych wsi, a nawet z gór, ciągnęli amatorowie śpiewu do Kuby, ale żaden z nich nie przypadł do smaku Sunnitów. Nareszcie po niejakiem czasie, kiedy wieść zaleciała do Szamachy, przybył z tamąd rzeźnik Abdulla, atletycznej budowy, obdarzony pełnym, silnym, huczącym, słowem najszczerliwszym głosem. Po pierwszej próbie, Abdulla



został jednomyslnie mianowanym: Pierwszym Muezinem Sunnickiego Meczetu.

Ale niestety, nic nie ma stałego na świecie! Tryumfujący Abdulla, w trzecim roku swego współzawodnictwa, wysilił się, zerwał sobie piersi, i po kilku dniowej chorobie, gdy znowu Allah el Allah . . . . zaśpiewał, zmartwił wszystkich Sunnitów i pocieszył Szahitów.

Duchowienstwo Sunnickie, ze smutkiem w duszy, z boleścią w sercu, mając na widoku, że Abdulla jedynie przez gorliwość o wiarę swój głos postradał, ku wielkiemu zgorzeniu krewnych Baby, zostawiło Abdullę przy swym obowiązku. Można go i dzisiaj w Kubie usłyszeć, ale ci co dawniej mu się przysłuchiwali, nie poznają jego głosu. Zawsze jednak, głos Abdully, mocny, huczący, ale chrypliwy i jakby zakatarzony; — jest to dźwięk olbrzymiej kwartjoli z zerwaną syczącą struną.

Mój urlop miał się już ku końcowi, a oddział według mojej rachuby, powinien był w tym czasie zbliżyć się do Derbentu. Siadłem więc znowu na wóz pocztowy, przejeżdżam błotniste Kuby uliczki, znowu koło tejże samej bramy wypytują mnie i zapisują. Z kordegar-

dy wychodzi jakiś aresztowany Jegomość, w obdartym fraku, — z czerwonym ogromnym nosem, co tak zupełnie wyglądał jak pieczęć na zabrudzonej kopercie. Jegomość próbuje ze mną zawiązać rozmowę.

— Zdaje mi się że miałem szczęście gdzieś pana widzieć?

— Nie, panie.

— Pan zapewne jedzie do Szamachy?

— Nie, panie.

— Pan jak widzę w czerkiesce, zapewne bez miejsca, tak jak i ja?

— Nie, panie.

— Może pan chce się napić wody, tu woda wyborna?

Jegomość chwiejący się na nogach, zatoczył się niedoszedłszy do krynicy i już leżał w błocie. Spojrzałem na ten typ pijaństwa, i przypomniałem sobie piękną winietkę z dzbankiem na plecach. Jaki kontrast rażący. Otóż mój wjazd i wyjazd z Kuby. Początek i koniec. Pierwsza i ostatnia stronica. Tak zupełnie jak w jednym fantastycznym poemacie — w prologu anieli zstępują na ziemię, a w epilogu djabli się tłuką.



### VIII.

ANZ oddział zbliżał się do Derbentu. Śród gór i wąwozów, podchodziliśmy do tej dawnej stolicy Chaństwa tegoż imienia. Morze Kaspijskie się znowu ukazało. Odosobnione to morze, tak szumiało i grzmiało falami, jakby się dąsało na swe losy, a nieruchomy i poważny Derbent otoczony starożytnym wysokim murem, wyglądał jakby dumał nad próżnem usiłowaniem odbijających się fal.

Gdy przednia straż wchodziła do miasta, Tatarzy powyłazili na mury i ciągle krzyčili: *Urus geliller! Urus geliller!* (Ruscy idą). To było hasłem i dla Tatarek, które odbiegłszy

od swych zatrudnień, posiadały na terasach swych domów, aby się lepiej przypatrzeć defilującemu wojsku. Dostrzegłem ku wielkiemu zdziwieniu, że nie jedna z nich o czadrze zapomniała. Już okiem szukałem pięknych twarzy, lecz bardzo się omyliłem, bo tam tylko stare kobiety bez czadr wychodzą, a wszystkie inne po same się oczy zasłaniały. Liczba widzów coraz się powiększała, i terasy wszystkich domów ożywione były grupami przystojnych Tatarów, których czuchi z rękawami na wyłoty, pięknie odbijały od tajemniczych różnokolorowych czadr. Gdzie niegdzie widać było i Mullów, których łatwo rozpoznać po różniącym się ubiorze, i nie jeden sędziwy Chadży, pociągając dymek z kalkanu, wlepił swój wzrok w przesuwające się carskie pistolety \*).

Do liczby ciekawych Tatarów, asystujących nam przez całe miasto, przyłączyło się wielu żołnierzy stojącej tam załogi. Każdy z nich radby był napotkać choć nieznajomego sobie ziomka, uściskać i ugościć go po bratersku;

\*) *Pađizach tapenza* (Carskie pistolety) tak Azjaci działa nazywają.



u nich dosyć aby się dowiedzieli iż są z jednej wsi, z jednej Gubernii, a będą już prawdziwymi przyjaciółmi. Jeżeli gdzie, to tu za górami, w oddaleniu, gdzie się życie tak często naraża na niebezpieczeństwo, czyż może być co przyjemniejszego, jak napotkać rodaka, z którym można wspólnie zatęsknić i pomówić o swych rodzinnych stronach. Ja sam nieraz tego doświadczałem; nie dziwiłem się więc takiemu zwyczajowi ruskich żołnierzy.

Przeszedłszy wszcz całe miasto, wyszliśmy przeciwległą od wejścia bramą; tam czekali kwatermistrze aby nam pokazać miejsce, które komendant Derbentu na obóz naznaczył.

Piękny i malowniczy był widok, z północno-wschodniej strony za miastem, gdzieśmy namioty rozbili. W dole przed nami igrały Kaspijskie fale. Z prawej strony, ciągnęły się mury przynajmniej na dwie wersty długiego Derbentu. Ta część miasta, co przylega do morza, była w dole, i nikła śród ogrodów; drugi koniec Derbentu, zaś idąc pod górę, kończył się małą fortecą, która ze swej wysokości, z kilką wytoczonemi działami, panowała nad całym miastem.

stem. Obóz sam, przylegał do otaczających go ze wszech stron licznych cmentarzy.

Nie tracąc czasu, poszedłem obejrzeć tę rozległą dziedzinę umarłych. Uderzyły mnie najprzód, dwa pyszne nagrobki blisko siebie stojące; były one w guscie małych meczetów, z wnijściem wewnątrz, tam dopiero były kamienie grobowe tegoż kształtu, co i tysiąc innych do koła, tylko że były większej objętości, piękniejsze miały rzeźby i dłuższe napisy. Zdjęty ciekawością, zapytałem o nie modlącego się na świeżym grobie Tátara; lecz krótka była odpowiedź: *Bihnes* (nie rozumiem), powiedział z gniewem, i odwrócił się odemnie.

Rozumiałem trochę po tatarsku, ale długiej rozmowy prowadzić nie mogłem. Chciałem więc zejść aż do morza, a z tamtąd udać się do miasta, żeby sobie wynaleźć tłumacza. Zaledwie zrobiłem kilka kroków, gdy posłyszałem, że ktoś mówi po rusku, był to właśnie mulla, którego się w ten sposób do mnie odezwał.

— Beżecny Kjafirze, kto ci pozwolił tu chodzić. Jak ośmieliłeś się wejść do tego przybytku wiernych; uciekaj z brudną twą duszą i ciałem, nie plugaw tego miejsca stopami twemi.



— Dziwi to mię mocno — powiedziałem — że podobne słowa słyszę z ust mulły.

— Jakto? — odpowiedział — chyba nie wiesz gdzie się znajdujesz? *La cheul u là kuowet illa Billah* (Nie ma mocy i potęgi tylko u Allaha). Chyba nie wiesz, że to miejsce (tu wskazał ręką na ogrodzone groby), jest świętsze, od doliny Safa i Merwa. Chyba nie wiesz że tylko jedna Mekka, ma pierwszeństwo przed tymi oto grobami czterdziestu męczenników?

— Już dawno o tych czterdziestu słyszałem, i właśnie ich szukam.

— Porzuc to porzuc — powiedział — czy chcesz uchozić za wiernego, czy za tak bardzo cnotliwego.

— Chyba nie pamiętasz — przerwałem — co wasz Prorok powiedział, w drugim rozdziale Koranu: „Cnota nie należy na tem, abyście zwracali oblicze wasze ku wschodowi, lub ku zachodowi. Cnotliwi są ci, którzy pomagają sierotom, ubogim i podróżującym.” A ty mulło wypędzasz mnie, i wędrowcowi dalekich stron, nie chcesz dopomóc i rozpowiedzieć o tych starożytnych szczątkach, tyle przeze mnie szanowanych.

Mulła zamyslił się, po chwili uderzył mnie po ramieniu i krzyknął.

— *Adzaiab! Adzaiab!* (cud.) Wielkie słowo powiedział.

Zacytowałem mu znowu kilka wierszy z Koranu, — starzec nie posiadał się z radości; już mnie podejrzewał, że jeżeli nie jestem jeszcze Muzulmaninem, to zapewne mam chęć nim zostać. Dłużej prowadzona w tym guście rozмова, zrobiła mi ze srogiego Jussuf Mulły, prawdziwego przyjaciela. Przez niego miałem wszędzie wstęp, i podczas dwudniowego mego pobytu w Derbencie, nieprzyjaciel Kjafirów był ciągle na moje usługi.

Południe dochodziło właśnie, gdy z najbliższego minaretu dał się słyszeć donośny głos muezina. Pobożny Jussuf śpieszył dla odprawienia namazu, — pożegnał się ze mną, i powiedział, że za godzinę będzie na mnie czekał koło głównego meczetu.

Zaszedłem do opasanych murem czterdziestu owalnych kamieni. Groby te znane pod nazwiskiem *Kirkler* (czterdzieści), sięgają dalekiej starożytności. Są ślady iż były na nich napisy, lecz te zniszczył już sam czas, już dobrodu-



szni mieszkańcy, którzy w razie choroby, rzadko się udają do swych Hakimów (lekarzy), a wolą pójść do Kirkler, i na lekarstwo naskrobać sobie proszku z eudownych kamieni. Tę razą i wyzdrowiający, fanatyczni Tatarzy, dowodzą co może wiara.

Podróżujący różnego są zdania o Kirkler. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, są to najwaleczniejsi z Arabów, którzy ze swym naczelnikiem Salejmanem-Rebia-el-Bahily, w bitwie przeciw Chazarom, męczeńską śmierć ponieśli. Tak przynajmniej wspomina o nich Derbencka kronika, znana pod nazwiskiem *Derbent Name*. Co się zaś tyczy potomków tych czterdziestu Arabów, o których Reinegs pisze \*) że się w Derbencie przechowali, to istna brednia, bo tam o nich nie wiedzą. Natomiast zabawni Ormianie Derbendzey, którzy jak wszyscy inni Ormianie Kaukazcy, wszelkie starożytności za swoje uważają, nie chcą wierzyć w *Derbent Name* i utrzymują że w Kirkler leżą ich pradiadowie, zamęczeni przez Mahometan-

\*) Reinegs Allgemeine historische, topographische Beschreibung des Kaukasus.

Derbenckie nagrobki, karawanseraje, fontanny, bramy i mury, mają mnóstwo starożytnych napisów, lecz większej ich części sami mieszkańcy nie rozumieją. Wielka szkoda, że wraz ze statkiem zatoneły na morzu te kamienie, które Cichwald przez Astrachań do Kazańskiego wschodniego muzeum chciał posłać \*). Kazańscy orientaliści, zapewne rzuciliby więcej światła na te starożytności, niż pseudo-orientaliści zwiedzający Derbent. Ich wszystkie badania do tego można zredukować: że napisy te są perskie, tureckie, arabskie, chaldejskie, dawne kufickie i pelwy; lecz co zawierają, tego sami nie wiedzą, bo ich nie rozumieją, i dla tego to żaden z nich nie wziął się do tłumaczeń. A nawet uczony Frähn, któremu wysłano fac-simile nie jednego z tych napisów, gubi się tylko w domysłach, i nie stanowczego nie powiada. Wiele z tych napisów czas tak zatarł, że w niektórych miejscach jużby je trudno było wyczytać. Gdyby wszelakoż biegły jaki orientalista chciał się nie-

\*) Zob: Reise auf dem Caspischen Meere und in den Caucasus. Unternommen in den Jahren 1825-26. von E. Eichwald. Stuttgart und Tübingen. 1834.



mi zająć, to jeszcze byłyby środki po temu. Bayer, w swojej rozprawie *de muro Caucasia*, wspomina, że Książę Mołdawski Dymitr Kantemir, któren towarzyszył Piotrowi Wielkiemu w jego wyprawie do Derbentu, wiele napisał o starożytnościach Derbenckich, i prawie je wszystkie przerysował. Rękopis ten, z którego Bayer wiele zaczerpnął, ma się w Cesarskiej Petersburskiej Bibliotece znajdować. Uczony miłośnik starożytności, porównawszy fac-simile Kantemira, z dzisiejszemi, mógłby je jeszcze wyjaśnić. Ale dopóki to nie nastąpi, to prawie wszystkie Derbenckie napisy, można uważać za hieroglify, które jeszcze czekają swych Szampolionów i Duteilów.

Przez jedną z bram bliżej morza leżącą, udałem się do miasta. Ulice były ciasne i dosyć zabrudzone. Tylko w nowszym kwartale dwa powozy mogły by się rozminąć; a dawne ulice, tak tylko są szerokie, aby obładowany wielbłąd mógł się przez nie przecisnąć. I tą razą właśnie napotkana karawana wielbłądów, nabawiła mię nie mało trudności, nim doszedłem do karawanserajów, w których wielki był

ruch, bo kupcy byli zajęci odprawieniem towarów do Kuby i Szamachy.

Przeszedłszy kilka ulic, stanąłem koło meczetu, i niezważając że mego mułły tam nieznalazłem, wszedłem sam na obszerny dziedziniec, wyłożony pięknym ciosowym kamieniem. Duży meczet wraz z minaretem był po prawej stronie od wchodu, a z jednej i z drugiej strony koło niego, mieszkania dla niezonatych mułłów. Nad drzwiami meczetu, był napis arabski, wyrażający nazwisko budowniczego Tadsz-ed-Dina, i rok 770, to jest odpowiadający naszemu 1368, lub 1369. Widać że dawniejsze Derbenckie meczety nie ocalały; zapewne podczas tak często prowadzonych tam wojen, padły ofiarą licznych swych wrogów i pustoszycieli.

Nie była to Dżuma \*), a jednak w meczecie znalazłem dosyć ludzi. Na rozesłanych dywanach, siedziało po azjatycku ze trzydziestu Tatarów, ale nie o modlitwie myśleli, palili sobie tylko fajki i rozprawiali głośno. Drugie tyle Tatarów zajętych również konwersacją, siedzia-

\*) Dżuma (Piątek), dzień święteczny u Mahometan.



ło w kącie meczetu. Wtenczas dopiero przekonałem się, że w Derbencie zameżne kobiety były daleko wolniejsze, aniżeli w innych muzułmańskich miastach; bo nie jedna z nich, niby to od niechcienia, rozpuściła czadrę, i pokazała twarzyczkę. Zacząłem się więc pilnie przypatrywać. Wprawdzie były one piękniejsze od zachwalonych Gruzinek, lecz szpeciły ich brwi mocno naczernione i jeżeli nie naturą, to sztuką złączone; oczy miały żywe, a rysy twarzy bardzo regularne. Młode Tatarki, nie przestawały odsłaniać się i strzelać oczami w różne strony. Takto kokieterja, jest bóstwem któremu wszędzie hołdują; a orszak jej również świetny w azjatyckich haremach, jak w naszych salonach. Tylko że wszystko stosuje się do zwyczajów, i do wyobrażenia o pięknie. I tak Derbenckie damy nie watają się, nie przyprawiają loków, nie znajdują gorsetów; lecz za to malują żółto paznokcie, czernią rzęsy, i więcej używają różu i bielidła, niż nasze Europejskie damy.

Takimi postrzeżeniami zajęty, nie uważałem, co się koło mnie działo, a rzecz nie szła ku dobremu; bo niektórzy Tatarzy zbliżyli się do mnie, a z ich mowy i giestów łatwo było wyrozumieć,

że przytomność moja nie bardzo się im podobała. Oglądali się na wszystkie strony i szukali jakiegoś Achmeta, którego zapewne obowiązkiem było wypędzać Kiafirów z meczetu. Nie wiem na czemby się rzecz skończyła, gdy szczęściem zbliżył się do mnie Jussuf mulla, któren wszystko potrafił uspokoić.

Powoli się meczet zaczął opróżniać, lecz Tatarzy nie zaszli daleko, bo prawie wszyscy ob siedli fontannę na dziedzińcu. Derbent nie ma kawiarni, jedyne więc miejsca gdzie się zejść można na gawędy, są bazy, łaźnie i dziedzińce meczetów. Liczba Tatarów powiększała się nawet przechodzącymi przez ulicę. Widać że rozprawiających zajmowała polityka, gdyż ciągle dawaly się słyszeć te słowa: Urus, Dzemil \*), Abu-Musslim Chan \*\*).

Wróciłem do obozu. Nazajutrz chciałem koniecznie zobaczyć sławny mur kaukazki, zaczynający się za Derbentem i ciągnący się bardzo daleko przez góry i wąwozy. Mulla i to mi uła-

\*) Terazniejszy Dowódzca Górali.

\*\*\*) Jeneral wojsk rossyjskich, Szamchal, to jest władzca Szamchalstwa, zaczynającego się za Derbentem.



twił. Namówił znajomego sobie Bega, z którym z rana wyruszyłem na polowanie, dążąc ku tej stronie, gdzie się mur zaczynał. Miejsce to było bardzo niebezpieczne, z powodu ciągłych rozbojów, lecz Beg miał z sobą kilkunastu uzbrojonych nukierów. Polowanie szło zwyczajnym tutaj trybem, strzelano z koni, wypuszczano sokoły, bo tą razą nie natrafialiśmy na tak licznych w tej okolicy wilków, lisów, niedźwiedzi; a tylko zajęce, kuropatwy i bażanty padały ofiarą. O pół mili dopiero od miasta, dawały się widzieć, gruzy, i sam mur, miejscami całkiem zniszczony miejscami wałący się pod ciężarem stuletnich drzew wyrosłych na nim. Gęstwina, jary i góry nie dozwoliły nam się w głąb zapuścić, mało skorzystawszy musieliśmy nazad powrócić.

Według podania, Kaukazki mur miał być dźwignięty przez Iskendara \*), i ma się ciągnąć od Kaspijskiego do Czarnego morza. Lecz to są bajki; bo wiadomo, że Bohater Macedoński nigdy w tych stronach nie był, a mur ten przerywany górami i wąwozami, dochodzi tylko do zamku Dar-Jol, leżącego na wojenno-

\*) Tak na Kaukazie nazywają Aleksandra Macedońskiego.

gruzyjskiej drodze. Dalej zaś żadnego śladu nie dostrzeżono. Derbent-Name również przypisuje olbrzymią tę pracę Iskendarowi, ale dołącza, że Szach Perski Kubad (panujący w V wieku), za wojowawszy Dagestan, odnowił i wzmocnił ten mur, a to wskutek zawartego traktatu z władzą Chazarów Kahanem. Zamążpójście córki Kahanu za Szacha Kubada i ten mur, miały być rękojmią bezpieczeństwa i zgody między nieprzyjawnymi Chazarami i Persami. Według zaś Massudi \*), arabskiego Geografa, żyjącego w X wieku, mur ten miał być wystawiony przez syna Kubada, Chozroesa Nuszyrwana.

Wiadomości z obydwóch tych źródeł dadzą się z sobą pogodzić; jeżeli zauważymy że Iskendar na Kaukazie jest jakby mytem, fantastyczną nie zaś historyczną osobą. A tak nie będzie rzeczą niepodobną; że mur ten był zaczęty przez Kubada, a przez Szacha Chozroesa dokończony.

Sława i świetne zwycięstwa Aleksandra Macedońskiego, tak podziały na Azję, że Byzantyjscy i wschodni pisarze, dopuściwszy się gru-

\*) Massoudi description du Caucase, traduit de l'arabe par J. Klaproth, Magasin asiatique, Paris. 1826. vol. I. page 258.



bych anachronizmów, zapisali foljały o jego pochodach, nawet w tych stronach, w których nigdy nie był.

Zdaje mi się że popularność jaką ma syn Filipa na Kaukazie, winien będzie samemu Mahometowi. I tak w Koranie w rozdziale XVIII czytamy: że Dul Karnein <sup>\*</sup>), nie wiadomo w jakim miejscu (trudno od poetycznego proroka dokładności wymagać), dość że podczas swych pochodów między górami, natrafił na jakiś naród, którego się do niego w te słowa odezwał:

§ 93. Dul Karneinie, Żadzudży i Madzudży ciągle nas niepokoją rozbojami, czy nie mogli byśmy cię uprosić, abys za zapłatę, wznosił mur między nami.

§ 94. Potęga, odpowiedział on, jaką mi dał Stwórca, jest dla mnie dostateczną zapłatą. Pomóżcie mi tylko gorliwie, a ja wzniosę przegrodę między wami.

§ 95. Przyniescie mi tylko wielkie sztaby żelaza, abym zamknął przesmyk między dwoma górami. Później powiedział do robotników:

<sup>\*</sup>) Dul Karnein, po arabsku właściciel dwóch rogów: tak Arabowie nazywają Aleksandra Wielkiego.

dmuchajcie, dopóki żelazo nie poczerwienieje jak ogień. Później powiedział: przyniescie mi roztopionego mosiądzu, abym nim zalał z wierchu.

§ 96. Żadzudży i Madzudży, nie mogli przeleźć przez ten mur, i nie zdołali go przebić <sup>\*</sup>).

Ządto zapewne urosło podanie o wybudowaniu muru kaukaskiego, przez Aleksandra Macedońskiego. Mullowie zajmujący się ustawicznie komentarzami i objaśnieniami Koranu, pierwsi zapewne na tę myśl wpadli, w którą dziś kaukazcy Mahometanie tak ślepo wierzą.

Wróciwszy z polowania poszedłem do Jusuf mully, znalazłem go rozmyślającego nad Koranem.

— A ha — powiedział mulla — już teraz to cię nie puszcze, musisz mi rozpowiedzieć o Fren-gach, tak jakieś mi obiecał; a inaczej to cię wieczór nie poprowadzę na wesele Hassan-Bega.

— Zgoda — powiedziałem — ale pójdziem na brzeg morza i użyjemy przechadzki.

<sup>\*</sup>) Le Koran. Traduction nouvelle, faite sur le texte arabe, par Kasimierski. Interprète de la Legation Française en Perse. Paris 1840.



— Inszallah, Inszallah, powtórzył mulla. Morze było spokojne jak sen dziecięcia, żadna fala nie muskała jego oblicza. Wody się uspokoiły jakby zaczarowane, można się było przejrzeć jak w zwierciadle. Nad brzegiem stało kilku oficerów od Artylleryi, i Tadeusz Łada Z\*, najbliższy mój kolega, bo służący razem ze mną w jednej Kompanii saperów. Od niego to się dowiedziałem, że cała banda oczekuje na szalupę, która ma ich dowieść do statku stojącego na pełnym morzu; że statek najęty na kilka godzin, i że dla przepędzenia czasu, zamierzają odbyć po morzu przejazdkę. Znajomi oficerowie podeszli do mnie, prosząc żebym im towarzyszył. Zgodziłem się najchętniej, ale wiele miałem trudności z Jussufem, który chciał wracać do miasta, wymawiając się że on zna Kaspijskie morze jak samego siebie, i że po takiej ciszy w krótkce burzy trzeba się spodziewać.

Szalupa przybiła, ale nie zupełnie do brzegu; żeby się do niej dostać, trzeba było zrobić z dzieśią kroków po kolana w wodzie, Tatarzy przynosili pozostałe wory z tureckimi orzechami, które były przeznaczone dla statku odprawia-

jącego się do Astrachanu, na którym właśnie my wprzód mieliśmy popłynąć. Gdy ostatni wór złożono w szalupie, Tatarzy za pomocą drabinki, splecionej z lin, sznurów i sznurków, tak nam ułatwili przejście, że cała nasza grupa suchą nogą przepawiła się, i już była w szalupie. Ja tylko z mullą zostałem na brzegu, a widząc że w żaden sposób nie dał się namówić na tę morską podróż, pożegnałem się z nim, i po drabince dostałem się do czekających na mnie.

— Bądź zdrow Jussufie — powiedziałem — żałuję mocno że odłożona nasza dySSERTACJA w Azji i Frengistanie nie przysłała do skutku; jutro bardzo rano wychodzim, zapewne już się nie zobaczymy. Bądź zdrow kochany mulla.

Jussuf stał nad brzegiem, wahał się, sam nie wiedział co robić; żał mu było rozstać się ze mną, i z wiadomościami o Frengistanie i Giaurach, którzy w nim ciągle wielką ciekawość wzbudzali. Już szalupa miała odbić od brzegu, gdy w tém Jussuf nie dowierzając nogom, zakaśał poły swej szerokiej sukni, i dał znak Tatarowi żeby go przeniósł na plecach.

— A ha, otyły mulla, woli jeździć jak chodź, — krzyknęli ze śmiechem z szalupy — szko-



da że nie pije szampana, wartoby spoić kawalerzystę.

— *C'est un tableau de Hogarth* przerwali inni.

— *Tableau vivant!* — powtórzyli wszyscy chórem.

— *Inshallah!* krzyknął Jussuf rozgniewany, — złażąc poważnie ze swego rumaka.

Dopłynęliśmy do statku, kupiec Astrachanski z miną kapitana okrętu, stał przy zakopconym kompasie i wydawał rozkazy. Cała nasza grupa przeniosła się na pokład, rozpuszczono żagle i popłynęliśmy.

Prawie wszyscy byliśmy po raz pierwszy na morzu, różne też na nas robiło wrażenia. Od oficera przyrównywającego Kaspijskie morze do wielkiego plastru, aż do poetyzującego Łady Z\*, każdy na nie patrzył innemi oczyma, — w innem usposobieniu ducha. Dla tego też i rozmowa na pokładzie bardzo była różnorodna. Zachwycony morzem, zarzucony pytaniami od Jussufa, mało uważałem co się koło mnie działo. Wpadł mi tylko w oczy Łada Z\*, na którym fale zaczynające się burzyć i cudny widok na miasto, wiele wrażenia robiły. Zamyślenie, posępna duma na czole i wyraz twarzy

objawiający natchnienie, okazywały że jego myśli i uczucia były przepelnione i potrzebowwały się wylać. Szkoda, pomyślałem, że prócz mnie na pokładzie, nie było nikogo, coby jego rodzinną mowę rozumiał; a niezawodnie była to chwila, w której mógł improwizować.

— Nic nie uważasz co ja mówię — przerwał mi Jussuf. Pytam się, czy u was we Frengistanie są morza?

Taki był początek rozmowy, którą nie chcę nudzić czytelnika; wypiszę tu tylko kilka myśli rzuconych przez mullę, które poniekąd zdają mi się charakteryzować Azjatów. Najoczytańszy człowiek w Azji, nie ma żadnego wyobrażenia o Europie; dla niego Frengi są to istoty któremi pogardza, i o których nie chce wiedzieć. Mój Jussuf był rzadkim wyjątkiem, i jeżeli się ze mną bliżej zapoznał, winienem to Koranowi. Jussuf był człowiekiem ukształconym, rozumie się po swojemu, po azjatycku; znał Azję dokładnie, wiele czytał, i prócz Koranu studjował jeszcze perskich i arabskich poetów. — Lecz z razu, każdy Europejczyk wziąłby go za najciemniejszego człowieka. Cywilizacja nasza, o tyle wyprzedziła, tyle się odróżniła od azja-



tyckiej, że zrobiła ją dla nas prawie niezrozumiałą. Lecz wróćmy do naszej rozmowy.

Jussuf mulla utrzymywał, że żaden Europejczyk nie może być walecznym, a to dla tego, że nie wierzy w przeznaczenie, i ufa tylko we własne siły. Według niego, tylko Mahometanie zawsze są waleczni, a przegrane ich zdarzają się chyba wtenczas, gdy mają do zwalczania stu na jednego, a są to tylko próby zesłane na nich od Boga. Wiara w przeznaczenie głęboko się u Mahometan wkorzeniła, jest to greckie fatum, indyjskie adaristo, które u siebie znają pod nazwiskiem Kyszmet. Mahomet wprowadzając Koran, który jest jakby *Juste milieu*, między spiritualnym Christjanizmem, a materialną wiarą dawnych Arabów; wiedział dobrze, że potrzebnych sobie despotów Wschodu, łatwo mógł zjednać, zostawiając przy nich prawo mocniejszego, i podnosząc Kyszmet do najglówniejszego dogmatu wiary. I tak niech jaki Chan spali prawowiernemu Mahometanowi \*) dom i cały jego dostatek, on nie będzie

\*) To oddanie się przeznaczenia wyraża się w samém nazwisku Mahometan. Po arabaku, *Muslita* znaczy poświęcający

go ratował, powie tylko — że tak chciało przeznaczenie. Niech innego całkiem ograbi, niech mu karze ostatnią czechę zrzucić, obojętnym na to będzie — tak chciało przeznaczenie. I sam Jussuf zrobiłby to na jego miejscu, bo i on ciągle o naturze przeznaczenia rozmyśla.

Drugą myślą, którą Jussuf rozwinął, było to, że nie możemy być prawdziwie uczonymi, i że nauki nigdy u nas kwitnąć nie będą. Żeby zostać geniuszem, mówił Jussuf, trzeba być zupełnym próżniakiem, trzeba czekać natchnienia, trzeba godziny i lata przepędzać w błogim keffie. W takim tylko usposobieniu, może się zjawić *Hafis, Enaceri, Firduzy, Saadi, i Dschelal-eddin-Rumi*. Lecz tego Frengi nigdy się nie doczekają, bo nadto są pracowici i tylko drobiazgowo ich rzeczy zajmują. Rozumujący mulla długo rozprawiał, i ciągle się silił na dowody; później wpadł w Entuzjazm, i ażeby mi rzecz jasniej dowieść, zacytował dwa wiersze z ulubionego swego poety, które się tak dadzą wytłumaczyć:

oddalający się woli Boskiej. Również *Islam* znaczy oddanie się woli Boskiej.



Mądrość dochodzi do swych skarbów, jak ostrzygi do pereł, to jest przez poziewanie.

Skorośmy na ląd wysiedli, poszedłem z Jusufem na wesele, gdzie miała się zebrać cała Derbencka arystokracja. Jussuf nie zapomniał mi powiedzieć, że Hassan-Beg dał rzadki dowód swej grzeczności, zapraszając mnie do siebie, coby wszelakoż nigdy nie nastąpiło, gdyby nie przyjaźń Hassana dla niego.

Była to właśnie pora w której się goście zbiegali. Dwa pokoje były rzęście oświetlone. W pierwszym, mnóstwo Tatarów siedziało po wschodniemu na niziutkich sofach, zasłane perskimi dywanami. W drugim pokoju były kobiety. Usiadłem obok Jussufa, cała kompanja zwróciła na mnie oczy, i zdawała się okazywać swoje nieukontentowanie. Jussuf mułła zaczął z nimi o mnie rozmawiać jak o swoim starym znajomym, i to ich uspokoiło. Rozmowa zwróciła się do czego innego, i ja już tylko od nowo-przybyłych, byłem ozierany od stóp do głowy.

Raptem, w drugim pokoju dała się słyszeć muzyka; dys-harmonia, przygłuszona tureckim bębenkiem. Wszystkich oczy zwróciły się ku

drzwiom, i kilka kobiet, zupełnie zasłoniętych, przemknęło się do drugiego pokoju.

— A, otóż i żona Hassana — powiedział Jussuf.

— Czy już się odbył ślub — zapytałem.

— Jeszcze zrana — odpowiedział Jussuf. U nas obrząd krótki, ale za to ucztą długa. Mułła w pół godziny wszystko skończył co do niego należało; ale Hassan-Beg jeszcze nie przęd-ko fetować przestanie, tak zresztą być powinno, kto pięćset dukatów za żonę zapłacił — ten powinien godnie wystąpić.

— Jakto — przerwałem — pięćset dukatów? \*)

— O, bo też Nissa *czoch jachszi* (cudnej piękności), Nissa to nie to co inne żony Hassan-Bega, które mu się daleko taniej obeszły, — co piękne to zawsze drogie. Nie wiem tylko, czy się zgodzi z jego innymi żonami; bo kiedy Hassan namawiał, żeby choć jedna z nich pro-

\*) U Mahometan żony się kupują, jakto przez wzgląd na piękność, już przez wzgląd na dawność rodu, różne są na nie ceny. Wypłacone pieniądze rodzicom przez pana młodego, nazywają się *Katja*, i służą za posag dla jego przyszłej żony.



wadziła ją do uroczystej kąpieli \*), to się zdążyła na to nie zgodzić.

Tymczasem, w drugim pokoju drzwi się zamknęły i kobiety zaczęły tańczyć ulubioną Lezginkę. Do naszego pokoju weszła druga muzyka; młodzi mężczyźni zrobili koło, z którego po kolei każdy wyskakiwał Lezginkę, póki mu sił starczyło, a starzy zasiedli na sofach i popisującym się dodawali ochoty, klaszcząc mocno w dłonie. Po tańcach nastąpiły śpiewy. — Po śpiewach pokazywano sztuki. — Wszystko to wykonywali muzykanci, którzy najczęściej są razem śpiewakami i pajacami.

Później nastąpiła wieczerza. Wszystkie sofy zastawiono pilawem, różnymi szaszłykami, owocami i sorbetem. Weselość była powszechna, tylko Hassan-Beg był trochę smutny; zapewne zamyslał się nad przeznaczeniem, co już go zrobiło mężem Nissy — której jeszcze w oczy nie zajrzał. Lecz i on chwilowo wypogadzał swe czoło; zapewne musiał sobie przypominać

\*) Zwyczajem jest w Derbencie, że narzeczona, dajem przed szlubem w asystencyi wielu kobiet jedzie na osie do łaźni, gdzie jej całe ciało czerwonym kolorem malują.

słowa siostr i matki, które go zapewniły, że kuzynka małżonka była prawdziwą pięknoscią.

Po wieczerzy znowu nastąpiły tańce, przerywane tylko powiastkami i improwizacjami Aszecha (Barda), którego szczególnie zwrócił moją uwagę. Aszech zjawił się podczas kolacji z czungurą \*), siedział ciągle na ziemi koło drzwi. Nie chciał nic jeść, wymawiał się że pości. Aszech rozповідаł: że nie był mieszkańcem Derbentu, że ciągle wędrował po Kaukazie i przez swe śpiewy i deklamacje na chleb zarabiał. Już miał dalej wyruszyć, ale dowiedziawszy się o weselu Hassana, pozostał aby go uczyć swemi rymami. Wiersze jego, czyli raczej improwizowane pochwały dla gospodarza i dla jego gości, podobały się wszystkim; bo Tatarzy ciągle *aferim* (brawo) krzyczeli. Później znowu ochota do Lezginki przemogła, zaczęli tańczyć, i wszyscy o Aszechu zapomniaeli. Ja tylko jeden nie spuściłem go z oka, bo fizygnomia jego bardzo mię uderzyła. Natwarzy Aszecha malował się smutek, a razem oburzenie i pogarda. Oglądał się na wszystkie

\*) Czungura, wschodnia gitara z metalicznymi strunami.



strony, i tak jakoś nie śmiało spojierał, że można go było wziąć za zbrodniarza, co uszedł ręk sprawiedliwości.

Jedenasta dochodziła właśnie, żalowałem bardzo, że się musiałem rozstać z pocieszną kompanją, ale trzeba było śpieszyć, bo musiałem w obozie nocować.

Nim się różstaniem z Derbentem, jeszcze słów kilka z jego historii. Według podania, Rustem \*) zwyciężywszy *Sajtana* (djabła), kazał mu w trzy dni to miasto zbudować. Djabieł naznosił gliny i kamieni, po których bił ciągle ogonem, dopóki się nie przemieniły w gotowe domy; później djabieł wlaźł na ich terasy i bił jeszcze ogonem. Domy się pooddziały i stanęły tak jak je teraz widzimy, na krętych i ciasnych ulicach, którym ogon Szajtana nadał kierunek.

Taki to początek Derbentu, a pierwsze jego dzieje można śmiało opuścić, bo i tam nie wiecej prawdy; dosyć na tem, że był zawojowywany przez Chazarów, Arabów, Turków i Persów, którzy na przemiany w nim panowali. W roku

\*) Wschodni Herkules.

1589, Turcy znowu Derbent zawojowali. Wtedy to Szach Perski Emir Gemze, chcąc się ich pozbyć, a nie ufając własnym siłom, prosił o pomoc Cara Fiodora Iwanowicza, obiecując mu za to Derbent i Baku ustąpić; lecz to jakoś nie przyszło do skutku, bo zwyciężeni Turcy wynieśli się, a Persowie bez cudzej pomocy, znowu w Derbencie i w całym Dagestanie \*) panowali. W roku 1722 Piotr Wielki zawojowawszy brzeg Kaspijskiego morza aż do Astrabadu, zdobył razem i Derbent, lecz żadnych tam zmian nie robił i zostawił wszystko po dawnemu. Później w skutek traktatów zawartych w Reszcie i Gandży (1732 i 1735), Rossya musiała ustąpić od Kaspijskiego brzegu i tak się przerwał jej wpływ na Derbent. Roku 1747, skorzystano w Dagestanie z zamieszania, jakie w Persji po śmierci Szacha Nadira, panowały, i Derbent pozbywszy się Perskich władców,

\*) Dagestan, to teraźniejsza Derbenciecka Prowincja, Szachanstwo, Tabasseran i ziemia Kara-Kajtachów. Jest jeszcze inny Dagestan, nazywany na rosyjskich krajobrazach górny Dagestanem. Nie wiem tylko czy to właściwie, gdyż samo *Dagestan* po tatarsku górę, a *stan* ziemię, kraj. Właściwiej należałoby go nazywać wolnym Dagestanem, bo i dziś jeszcze jest siedziskiem kilku niepodległych plemion.



ogłosił Chanem Machmud-Hassana, pochodzącego ze krwi dawnych Chanów Derbentu. Lecz to tylko trwało do roku 1766; wtedy właśnie Chan Kuby Fet-Ali całą Derbenką prowincję zawojował. Po jego śmierci (1787) nastąpił najstarszy jego syn, Achmet-Chan, który umarł w roku 1795 i z rodzeństwem swoim pochowany w tych grobach, o których zapytany Tatar nie mi nie chciał powiedzieć. Po nim nastąpił jego młodszy brat Szeich-Ali Chan, który się dobrowolnie oddał pod opiekę Rossyi, lecz późniejsze jego intrygi, zdrady i nieprzyjacielskie kroki, zniwoliły Rossyę do zupełnego zajęcia Derbentu. W roku 1806 wojska Rosyjskie weszły do Derbentu, a niespokojny Szeich-Ali, ostatni Chan Derbentu zemknął do Góralt. Od tego to czasu Derbent nie przestaje pokoju używać. W roku tylko 1832 Kazi-Mulla przez dni osiem trzymał go w oblężeniu. Już załoga była w wielkim ambarasie, lecz gdy nadeszły świeże posiłki, Kazi-Mulla spalił koszary stojące za miastem, zniszczył niektóre ogrody i odstąpił od Stolicy Derbenkiej Prowincyi.

Już poczynało świtać, a jeszcze wszędzie było cicho. Nad miastem unosiła się rozwiana mgła,

jakby senne marzenia śpiących mieszkańców. Wdali bieląło morze zasnutę szarym przezroczem. Co raz widniej — jaśniej, brząsk rozrzedzał tumany i nad falami purpurowe obłoki już kryły słońce za sobą. Jeszcze chwilka, i całe morze gorzącym blaskiem zapłonęło i świeciło jak drugie słońce. W obozie pobudka zagrziała i w naszym płóciennem mieście ruch już panować zaczynał. Dano hasło i namioty, jakby czarodziejskim sposobem, w mgnieniu oka zniknęły. Po małej przerwie uderzono znów w bębny i cały nasz oddział był już w marszu. Nie stanąłem w szeregu, spóźniałem się ciągle bo mi Jussuf przyrzekł, że jeszcze się ze mną zobaczy. Już sądziłem że nie dotrzyma słowa, gdy w tem na wychudłej szkapie dopędził mnie na drodze.

— Przeprowadzę cię trochę — odzwał się mulla — bo mam ci wiele do powiedzenia.

— Cóż takiego?

— Nic nie wiesz jakie było przeznaczenie.

— Czyje przeznaczenie?

— Inszallah! poczekajże, — powieś tylko tucho na gwoździu uwagi, a ja ci wszystko do-



kładnie rozpowiem. Zapewne wczoraj zauważyłeś Aszecha?

— O tym mówisz, co ciągle siedział na ziemi, koło drzwi.

— A właśnie o tym samym. Otóż widzisz jakie było przeznaczenie, gdy się już wszyscy z wesela rozeszli, Aszech zabił Hassan-Bega.

— A toż za co?

— Wallah-Billah (dalibóg), nie darmo mu kindżał w sercu utopił. Była to zemsta krwi. No proszę, ale żeby też sobie taką porę wybrać. Zapewne myślisz, że to był prawdziwy Aszech? O nie, już teraz wiadomo, był to przebrany Dżygit Kubijski, którego się pomścił za swego starszego brata. Ja to wszystko wiem dokładnie, bo jeszcze ojciec Hassana obawiał się odwetu i on to mi właśnie rozpowiadał.

— Ot widzisz tak się rzecz miała. Raz się tak zdarzyło, że stary Eskir wyjechał do Szamachy; po długiej niebytności wrócił do domu, długo u wrót kolatał, lecz nikt mu nieotworzył; było to późno w noc i w domu wszyscy spali. Eskir oddał konia swym ludziom, obszedł dom do koła, i przez fórtkę wszedł do ogrodu. W tym momencie po uliczce wiodącej do domu,

między winogradem i powojami, coś w bieli przemknęło. Eskir z razu pomyślił że to Szajtan, wspomniawszy imię Allaha, i zbliżył się do kiosku, z którego postać w bieli wybiegła.

— A ty tutaj co robisz, krzyknął na nukiera, chowającego się między róże i jaśminy.

— Ach to Aga—powiedział strwożony nukier—ja tutaj ja właśnie.

— No cóż właśnie—przerwał Eskir—cóż takiego? — *Anasyny-babasyny!* poczekaj—łotrze, ja się z tobą rozprawię,—jutro ci próby język rozwiążą\*), — ty mi wszystko wypiewasz.

Silny Eskir schwycił nukiera za barki i ciągnął go do domu,—później zatrzymał się pomyślił i poprowadził go wprost do kuchni.

— O poczekaj, powiedział, ty mi jeszcze zemkniesz do jutra, ja z tobą dziś skończę; no przyznaj się, mów—to Giuzel tu była?

— *Dżanym!* (duszo moja) Aga! — krzyczał nukier strwożony, puść mnie, puść mnie, darsz.

\*) Próby nad winowajcą przypominają dawne sądy Boże i w wielkiem są używaniu na Kaukazie.



mne będą twe próby, — ja nie wiem — jam nikogo nie widział.

Eskir kazał rozpalić szynę żelaza, i na dłoniach nukiera położył kawał papieru, na którym żarzącą się szynę umieścił.

— No teraz zrób naprzód trzy kroki i rzuc żelazo; jeśliś nie winien to ci ręk nie spali.

— A widzi Aga, żeś niewinien — krzyknął nukier pokazując swe dłonie.

— Kłamstwo, kłamstwo — powtórzył Eskir — ja zaraz prawdę wyświęcę. Hej wy gapie, włożyc go do worka. Jeśliś nie winien, to wypłyniesz z morza, wszak ci worka nie zaszyję.

— Aga! Dżanym Aga! ja pływać nieumiem.

— *Anasyny-babasyny!* — a żony to umieją bałamucić, — obaczym jak wyjdiesz z tej próby.

Nukiera włożyli do worka, ponieśli przez ogród i ze skały do morza wrzucili. Eskir w krótko po tem umarł, i ot widzisz Dżygit Kubijski dopiero się teraz na jego synie odemścił.

— Powiedzże mi — przerwałem — gdzież się teraz Dżygit obraca?

— O nie głupi on czekać, już gdzieś daleko

zawędrował; zapewne go u Dzemila zobaczycie. No, ale teraz już mi czas z tobą się rozstać.

— Żegnam cię, kochany mullo, ale jeszcze jedna prośba, przyjmij odemnie tę piankową fajkę, pal z niej, i pomyśl o mnie niekiedy.

— *Wallah-Billah*, ja widzę że ty zupełnie *Djunia i bilir* (znasz świat), wiesz nawet o tem że u nas *peszkiesz* (podarunki) we zwyczaju. Upprzedziłeś mnie, właśnie i ja dla ciebie paciorki przygotowałem. Choć wy *Frengi* nie lubicie na nich chwalić Allaha, no ale będziesz sobie z niemi czas przepędzał. Może się jeszcze kiedy zobaczymy, a teraz bądź zdrow i wesół. Niech słowiki drogiego kiejfu wiecznie ci śpiewają na różach radości i rokoszy.





314468

1-2